

moja Lesznowola

miesięcznik mieszkańców gminy

ISSN 2451-2346 grudzień 2018, nr 31



Gmina w obiektywie

Czy to zima, czy nie zima?
Śniegu nie ma, mróz nie trzyma.
Kaczki w wodzie stoją na lodzie.
Pokręciło się w przyrodzie.

Staw w Nowej Woli, 7 grudnia



13



40



7



20



34

Spis treści

- 6 Od Redakcji
- 7 Jak tu nie wierzyć w szczęście
...ludzie mówią często, że nieszczęścia chodzą parami
- 13 Tu rządzą yorki
...trochę się w życiu nacierpiałem
- 19 Na łyżwy
...każdy styl jest dozwolony i nikt nie ma kompleksów
- 20 Wokół wielkiej choinki
...tylko śniegu, tak jak w ubiegłym roku zabrakło
- 22 Przez Krasnojarsk do Jazgarzewszczyzny
...NKWD weszło do naszej litewskiej wsi Pobrzieże o piątej rano
- 28 Kura domowa
...im dłużej patrzyłam, tym bardziej byłam przekonana, że to musi być piekielnie trudne
- 34 Życie z piłką w tle
...całe jego życie potoczy się dookoła futbolówki
- 40 Czarodziej z Zamienia
...potrafi sprawić, by z nieba sypał śnieg
- 46 Przybieżeli do Betlejem
...wszystkie piękne, a każda inna
- 48 Sezon na cytrusy
...cytrusy spowszechniały i tylko niektórzy patrzą na nie z sentymentem



22



28



46



Od Redakcji

Nie wiem jak dla Państwa, ale dla mnie czas pędzi jak szalony. Już grudzień. Koniec roku. Można pokusić się o pewne podsumowanie, ale zamiast tego stwierdzę tylko, że ku naszej radości poznaliśmy w tym roku kolejną grupę wielu ciekawych mieszkańców naszej gminy, a dzięki „mojej Lesznowoli” mogliśmy ich Czytelnikom przedstawić.

Ilu poznamy w roku przyszłym? To w ogromnej mierze zależy od Państwa. Nasz telefon i email są do dyspozycji, a ja jak zwykle czekam na wskazania, o kim chcieliby Państwo przeczytać.

Z satysfakcją stwierdzam, że „moja Lesznowola” wpisała się w życie naszej gminy i tylko od Czytelników zależy, czy tak będzie dalej. Każdy ma w życiu jakąś ciekawą historię do opowiedzenia, tylko nie zdaje sobie z tego sprawy. Wiem to po rozmowach, jakie w ciągu tych blisko trzech lat odbyłem.

Mieszkańcy, których poznamy w tym numerze, też twierdzili, że nic nadzwyczajnego nie zrobili, że nie ma o czym ani rozmawiać, ani pisać. Uważam, że się mylili i mam nadzieję, że po przeczytaniu tekstów zgodzicie się Państwo ze mną.

O kim piszemy? O małżeństwie z pięćdziesięcioletnim stażem, któremu w życiu towarzyszyło szczęście w nieszczęściu. O pilocie, który nim dotarł do naszej gminy, musiał przebyć długą drogę przez Krasnojarski Kraj i rzekę Jenisej. Piszemy o człowieku, którego życie toczy się wokół piłki i o „kurze domowej”, która jest nocnym markiem i lubi fotografować samoloty. Opowiadamy o twardym mężczyźnie, który ma miękkie serce, kocha ludzi i swoje yorki. Wreszcie o mieszkańcu, należącym do pewnej zawodowej elity, bez której filmy akcji byłyby pozbawione tych efektów, jakie uwielbiają widzowie.

W naszej kuchni sezon na cytrusy. Miłej lektury.

Redaktor naczelny
Andrzej Kwiatkowski

moja Lesznowola
Miesięcznik Mieszkańców Gminy

REDAKTOR NACZELNY Andrzej Kwiatkowski
OPRACOWANIE GRAFICZNE, DTP Joanna Żuk
ZDJĘCIA Katarzyna Kwiatkowska
DRUK I OPRAWA MATRIX

WYDAWCA IMAGO, 05-506 Lesznowola, Władysławów, ul. Cicha 2
KONTAKT mojalesznowola@gmail.com, tel. 600 056 069

Jak tu nie wierzyć w SZCZĘŚCIE

– Jedni powiedzą, że było to przeznaczenie, my się śmiejemy, że palec boży i stało się to, co stać się miało. Do Zakładów Wytwórczych Lamp Elektrycznych i Rtęciowych im. Róży Luksemburg na Karolkowej w Warszawie, w których pracowałem na początku lat sześćdziesiątych, przyszła któregoś dnia na praktykę dziewczyna. Szła korytarzem i byłem pierwszą osobą, którą poznała. Gdy rozpoczęła praktykę, dziewczyny ostrzegały ją przede mną, bo mówiły, że nie jestem stały w uczuciach. Nie miały racji. Jesteśmy już pięćdziesiąt lat małżeństwem – mówi pan Janusz Bołożuk, a pani Mirosława wybucha śmiechem.

fot. z archiwum prywatnego M. i J. Bołożuków





Przy świątecznym stole u państwa Bołożuków zasiada trzynastcie osób. Gospodarze, dwie córki z mężami i siedmioro wnucząt. I to jest jeden powód do radości i satysfakcji po pięćdziesięciu latach małżeństwa.

– Drugim powodem jest to, że moja fundacja na co dzień karmi i opiekuje się wielką rodziną ludzi biednych, bezdomnych, dotkniętych przez los i nieradzących sobie w życiu – mówi pan Janusz. – Gdy patrzę, jak kobiety napełniają siatki jedzeniem i spieszą do domów, to zawsze w takich chwilach towarzyszy mi radość i satysfakcja.

Tragedia romantyczna

– Ludzie na podstawie własnych doświadczeń mówią często, że nieszczęścia chodzą parami. Jak się wali, to wszystko naraz. W mojej rodzinie to powiedzenie się nie sprawdza. Mogę nawet zaryzykować, że w parze z nieszczęściem szło szczęście.

Rodzice mieszkali w Rembertowie. Gdy byli młodymi ludźmi, znali się, spotykali, ale jak to w życiu młodych bywa, nie wiem, czy coś się stało, coś nie wypaliło, dość, że sympatyzująca ze sobą para zerwała. Przestali się spotykać i panna Helena poszła swoją, a kawaler Bolek swoją drogą – opowiada pan Janusz.

Helena pracowała w fabryce amunicji w Rembertowie i o mło-

dzieńczej sympatii zapomniała. Pewnego dnia 1936 roku w fabryce doszło do tragedii. Eksplozja amunicji urwała Helenie obie dłonie, poraniła i poparzyła twarz. Karetka odwiozła ją do Szpitala Praskiego i tam po operacji, cała w bandażach, dochodziła do siebie.

Wieść o wypadku w fabryce rozeszła się w Rembertowie lotem błyskawicy. Przy szpitalnym łóżku czuwała ciotka Tosia, a do szpitalnego pokoju zaglądali ludzie odwiedzający swoich chorych, żeby zobaczyć ofiarę eksplozji. Któregoś dnia do pokoju wszedł mężczyzna. Zamienił dwa zdania z ciotką i zapadła śmiertelna, niepokojąca cisza, którą w pewnej chwili przerwał głos, dobywający się spod bandaży: „Czy tutaj jest Bolek?”.

Gdy mężczyzna to usłyszał, padł na kolana przy łóżku, wybuchnął spazmatycznym płaczem i szlochając, mówił: „Helena, do śmierci cię nie opuszczę”. I nie opuścił. Gdy wyszła ze szpitala, pobrali się. Helena została panią Bołożuk. Takie to było szczęście w nieszczęściu.

Kilka lat później, w 1943 roku przyszedłem na świat. Gdy mama była w ciąży, podobno lekarze ciąży nie rozpoznali. Podejrzewali, że mama ma nowotwór i dlatego rośnie jej brzuch. Miało to być wodobrzusze, czyli rak wodny brzucha. Nieszczęście.

Kiedy jednak zabrali mamę do szpitala, okazało się, że to nie wodobrzusze, tylko duża ciąża i to ja wyrwam się na świat. Szczęście. Urodziłem się i chowałem zdrowo.

Mama miała wówczas czterdzieści jeden lat. Mogła mówić o szczęściu w nieszczęściu.

Gdy w 1943 roku koło Rembertowa przechodził front kończącej się wojny i trwał ostrzał artyleryjski, mama jednym kikutem porywała torbę, zębami podnosiła mnie w beciku, podtrzymywała drugim kikutem i biegła do schronu. To wiem z opowiadania taty. Była silną kobietą i na szczęście nauczyła się żyć ze swoim kalectwem.



...mama nauczyła się żyć ze swoim kalectwem

Sękocin

– Miałem sześć lat, gdy przenieśliśmy się z Rembertowa do Sękocina. W Rembertowie mieszkaliśmy z rodziną. Tata pracował w elektrowni i pewnego dnia dostał propozycję pracy w podstacji elektrowni w Sękocinie. To był 1949 rok. Ojciec dostał mieszkanie przy podstacji, a ja biegałem w sękocińskich lasach pełnych powojennych rowów i z chłopakami toczyliśmy nasze wojny.



Czas biegł szybko. Szkoła, po-maturalna szkoła techniczna ze specjalnością elektronika, wejście w dorosłe życie i praca w produkującej polskie tranzystory Fabryce Półprzewodników TEWA na Komarowa. Potem krótki okres pracy w zakładach elektroniki Wojskowego Instytutu Techniki Uzbrojenia w Zielonce i następnie dłuższy w Instytucie Badawczym Leśnictwa.

Kiedy w 1965 roku z dziewczyną poznaną na praktykach w Zakładach Róży Luksemburg wzięliśmy ślub, zamieszkaliśmy w dwunastometrowej kłitce w Zielonce. Gdy dwa lata później zostałem szczęśliwym ojcem bliźniaczków, Kingi i Mai, zrobiło się trochę ciasno. Ale jak już zaznaczyłem na początku, życiu mojej rodziny towarzyszyło szczęście. Dzięki znajomości ojca z jednym z naukowców pracujących w Instytucie Badawczym Leśnictwa, dowiedziałem się, że potrzebują do pracy elektronika. Zgłosiłem się i zacząłem pracować – trochę w swoim zawodzie, trochę w administracji.

Pamiętam któregoś dnia, przechodziliśmy z żoną w pobliżu instytutu, w którym budowano pierwsze domy dla pracowników. Pokazywałem jej piękny teren, budowę, niezasiedlone jeszcze mieszkania i żona

wskazała mi jedno okno: „Popatrz, Janusz, na tamte okno. Wspaniale byłoby tam zamieszkać i mieć z okna widok na las”. Popatrzyłem i przyznałem jej rację. To byłoby naprawdę wspaniałe. Szczególnie po tych naszych dwunastu metrach w wojskowym bloku w Zielonce.

I jak tu nie wierzyć w szczęście. Gdy zaczynałem pracę w IBL, zaproponowano nam służbowe mieszkanie. Mogłem wybrać wśród tych pustostanów. Co wybrałem? Mieszkanie z tym oknem, które mi pokazała Mirka. Zamieszkaliśmy na terenie instytutu. Żona dostała tu pracę.

Pracując w Sękocinie, podjąłem studia zaoczne na wydziale prawa UW, studiując, jak to się wówczas mówiło, „sołtysówkę”, czyli zarządzanie i administrację. Tak się rozpędziłem, że zrobiłem licencjat, magisterkę i nawet dostałem się na studia doktoranckie, ale zrezygnowałem. Dziś śmieję się, że nie odpowiadało mi towarzystwo.

Nie będę opowiadał całej mojej zawodowej drogi, ale dopowiem jeszcze, że w pewnym momencie pracowałem w Biurze Planów i Analiz Centralnego Zarządu Przemysłu Mleczarskiego, gdzie opracowaliśmy wielką, ponadczasową – bo do roku

...gdy zostałem ojcem bliźniaczków, zrobiło się trochę ciasno

2020 – prognozę rozwoju przemysłu mleczarskiego. Niestety nic z naszych prognoz nie wyszło – wybuchą śmiechem pan Janusz – bo zmienił się system, wszystko się zmieniło i naszą prognozę mogliśmy tylko wspominać. Nic się nie sprawdziło.

Rodzina

– Robiłem w życiu wiele rzeczy, ale w pewnym momencie – nie wiem, czy każdy tak ma – doszedłem do wniosku, że przyszedł czas zacząć więcej myśleć o rodzinie i poświęcać jej więcej czasu. By zarobić, zacząłem jeździć na roboty do Niemiec. Śmieję się, że pracowałem zgodnie ze zdobytymi kwalifikacjami. Głównie na budowach. Nie wyjeżdżałem na dłużej jak na trzy miesiące i po kilku latach za zarobione pieniądze kupiliśmy dwa hektary ziemi w Janczewicach. Zamierzaliśmy pobudować dom i prowadzić gospodarstwo rolne. Taki był mój pomysł na życie.

Wtedy też popełniłem jeden z największych życiowych błędów, bo namówiłem nasze bliźniaczki na szkołę ogrodniczą, widząc oczami wyobraźni szklarnie, w których uprawy pod szkłem będą prowadziły moje ogrodniczki.

Córki skończyły technikum ogrodnicze na Bełskiej, ale ponieważ nie miały w genach zamiłowania do ziemi, żadna z nich nie podjęła pracy w ogrodnictwie.

– Dziewczynki skończyły technikum, bo im kazałeś – wtrąca pani Mirosława. – Odczekały rok, by przemyśleć, co dalej w życiu robić, i podjęły decyzję. Jedna wybrała medycynę, druga historię sztuki.



...rodzina jest
najważniejsza



Obydwie skończyły studia z bardzo dobrymi wynikami i... ani jedna, ani druga nie pracuje w swoim wyuczonym zawodzie.

Obie stwierdziły, że najważniejsza jest rodzina. Kinga nawet przez kilka lat pracowała jako lekarka, ale chyba za wcześnie skoczyła na bardzo głęboką wodę. Podjęła pracę lekarza w hospicjum i jej psychika tego nie wytrzymała. Dlatego odeszła od zawodu. Zajął się własnymi dziećmi.

– Proszę sobie wyobrazić, jak silną trzeba mieć psychikę, żeby przeżywać takie sytuacje. Dzwoni do mnie Kinia w środku nocy –

wspomina pan Janusz – i mówi: „Kitek, musimy pojechać do mojego chorego. Właśnie zmarł i rodzina sobie życzy, żebym przyjechała, wystawiła akt zgonu, bo nie chcą mieć nieboszczyka w domu”. Jedziemy nocą, a tam w jednym pomieszczeniu zwłoki, a w drugim popijawa. Psychika młodej dziewczyny nie jest na takie sytuacje odporna.

Na początku córka przez kilka lat pracowała na stażu na pediatrii z dziećmi porzuconymi przez rodziców. Codziennie pękało jej serce. Była po prostu za wrażliwa. Zresztą adoptowała dziecko, bo powiedziała, że chociaż jedno uratuje. Mając

trójkę swoich, adoptowała chłopca i ma teraz czwórkę dzieci. Druga córka, Maja, ma trójkę dzieci. Ilustruje książki, maluje i wychowuje dzieci, bo tak jak my uważa, że rodzina jest najważniejsza. Może kiedyś zechcą same o sobie opowiedzieć.

Jako rolnik miałem jeden sukces. W stanie wojennym załatwiłem sadzeniaki w Zakładzie Genetyki i Materiałów Wyjściowych Ziemiańska w Młochowie. To były ziemniaki odmiany Irys. Gdy przyszedł czas wykopków, kolejki się do mnie po te ziemniaki ustawiały. I to był ten jedyny sukces.

Ponieważ miałem pole, pojechałem do Niemiec kupić używane maszyny rolnicze. Kupiłem ciągnik, sadzarkę i kopaczkę do ziemniaków, glebogryzarkę, sprzężniówkę i kombajn zbożowy. Kombajn był produkcji angielskiej i wszystkie śruby miał w układzie calowym, co stwarzało ogromne problemy, gdy trzeba było coś naprawić. Ale kiedy maszyny zjechały do Janczewic, moje usługi kombajnowe były bardzo pożądane. Przyrząd tnący kombajnu miał chyba dwa metry sześćdziesiąt centymetrów szerokości, więc w każdą bramę spokojnie się mieścił. Te kilka tygodni żniw, jazda na kombajnie od świtu do nocy dawała mi niezły dochód. Żona jednak doszła do wniosku, że po sezonie mam za dużo wolnego

czasu i załatwiła mi pracę dozorca w zakładach Polkolor w Piasecznie. Byłem chyba jedynym cieciem z wyższym wykształceniem. W Polkolorze zacząłem działać w zakładowej Solidarności.

Fundacja pomocy

– Nie będę opowiadał dziejów naszej zakładowej Solidarności, ale opowiem o czymś innym. Kiedy byłem przewodniczącym komisji zakładowej, po strajku, gdy nikt nie wiedział, co będzie z zakładem, co z pracą, bo ludzie byli na tak zwanym postojowym, przyszedł mi do głowy pomysł, żeby założyć fundację. Fundację Pomocy Bezrobotnym i Bezdomnym. Zrezygnowałem z funkcji przewodniczącego komisji zakładowej i zostałem prezesem fundacji, która w pierwszym okresie pozbawionym pracy w Polkolorze ludziom pomagała jakoś się w życiu urządzić. To był 1989 rok. Od tego roku sensem mojego życia stała się ta fundacja.

– Sprzedaliśmy ziemię, bo to nie było dochodowe zajęcie – mówi pani Mirosława. – Nie mieliśmy z czego żyć. Rolnictwo to było takie Janusza widzimy. Przywiózł z RFN piękne audi i szpanował. Gdzie mu tam w głowie było zajmowanie się ziemią i uprawami. To był w ogóle poroniony pomysł.



– No, to za karę załatwiłaś mi robotę ciecia – droczy się pan Janusz. – Zrobiłam to po to, byś miał jakąś stałą pracę i pensję. By było za co żyć – odpowiada żona.

– Kiedy znalazł się chętny, sprzedaliśmy ziemię. Przekonałem się, że nic się tak nie opłaca, jak kupno ziemi. Nasze dwa hektary kupiłem za cenę fiata 126p w ekspresowej sprzedaży, a sprzedałem po kilku latach za wartość mercedesa wysokiej klasy. Kupiliśmy działkę i dzięki temu od piętnastu lat mieszkamy w Łazach.

Wróć do mojej fundacji. Na początku zajmowaliśmy się szkoleniami. Uczyliśmy pracowników biurowych obsługi komputerów. Potem doszły szkolenia dla operatorów wózków widłowych. Zaczęliśmy mieć z tej działalności pewien dochód, który pozwolił na zorganizowanie struktury fundacji. Nawiązaliśmy kontakt z prężnie już wówczas działającą fundacją Jacka Kuroń, która między innymi zajmowała się sprzedażą odzieży używanej przysyłanej z Francji. Też otworzyliśmy taki sklep z tanią, używaną odzieżą. Prosperował świetnie.

W tamtym czasie często jeździłem do kościoła w Piasecznie na poranną mszę, a kiedy przyjeżdżałem za wcześnie, siedziałem w samochodzie i obserwowałem ludzi. W zasięgu wzroku miałem też kilka ulicznych śmietników. Pewnego dnia moją uwagę przykuł facet, który doszedł do śmietnika, zaczął w nim grzebać, coś wyjmować, coś zjadać albo chować do torby.

„Mój Boże – pomyślałem – jak to możliwe? Mamy dwudziesty wiek”. Patrzę, a przy kolejnym śmietniku ten sam obrazek. Wtedy przypomniałem sobie, że w wielkim centrum handlowym Auchan w Piasecznie widziałem, jak sprzedawcy zdejmowali z półek niesprzedane produkty żywnościowe i wrzucali do kontenerów. Jak to? Tam wywożono i marnowano tony żywności, a tu ludzie grzebią w śmietnikach?

Dłużej nie myślałem. Pojechałem do burmistrza Piaseczna, którym



wówczas był Józef Zalewski, i opowiedziałem mu tę historię. Wkrótce byliśmy umówieni na spotkanie z ówczesnym dyrektorem marketu. Nie pamiętam nazwiska Francuza, ale spotkaliśmy się i powiedziałem mu, że chętnie będziemy tę żywność odbierali i rozdawali biednym ludziom. Zgodził się.

Od jakiejś firmy dostaliśmy starego lublina, fabryka silników w Andrychowie po cenach części zamontowała w ciężarówce nowy silnik. Zaczęliśmy wozić żywność i rozdawać biednym. Rano z Auchan odbieraliśmy z rampy produkty, gmina dawała nam pieniądze na paliwo do lublinka, wyznaczyła miejsce, w którym stał samochód, i wydawaliśmy żywność. Potem kilka razy zmieniała się lokalizacja punktu wydawania, a teraz jesteśmy na Chyliczkowskiej 47.

Nie bierzemy już towaru z Auchan, bo po słynnej aferze, w której urząd skarbowy dobrał się do piekarza rozdającego biednym niesprzedane pieczywo i skutecznie piekarza zniechęcił, zniechęcił też naszego francuskiego partnera. Teraz odbieramy żywność z innej sieci i działamy.

Mam ogromną satysfakcję, gdy patrzę na ludzi wychodzących od nas z pełnymi torbami, zadowolonych, że będą mieli co jeść.



Max, Lola i Moly na dzień dobry robią taki radosny jazgot, że człowiek własnego głosu nie słyszy. Lotem błyskawicy biegną do gospodarzy, żeby zapowiedzieć przybyłych, a potem z taką samą energią wracają do gości, by wywąchać, jakie to wiadomości ze sobą przynieśli. Gdy siadamy do rozmowy, Max zajmuje miejsce przy pani, Moly wskakuje na kolana pana, a Lola siada samotnie na krześle i bacznie obserwuje rozmawiających. Cała rozpieszczona trójka zachowuje się tak, jakby uczestniczyła w naszej rozmowie.



Pasja pani Mirosławy

– Moi rodzice mieli niewielkie gospodarstwo koło Osiecka, a w nim jedną krowę, którą jako najmłodsza musiałam prowadzić na postronku i paść na miedzy. To było okropne, ale jak mówią, nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Dzięki temu przeczytałam mnóstwo książek wypożyczanych z biblioteki. Ilekroć nad głową przelatywał samolot, patrzyłam w niebo i wzdychałam: „Boże, jak ja bym chciała przelecieć się samolotem”. To było moje marzenie nie do spełnienia.

Gdy po wielu, wielu latach rodzice zmarli, zostawili w spadku swoje małe gospodarstwo podzielone między trzy córki. Podzieliłyśmy ziemię na działki i sprzedałyśmy. Miałam swoje pieniądze. Nie przeznaczyłam ich na futro, nie kupiłam biżuterii, tylko zaczęłam spełniać swoje dziewczęce marzenie, gdy zadzierałam głowę do góry i myślałam

o locie samolotem. W 1997 roku poleciałam do Paryża. Od tego Paryża zaczęło się nasze latanie. Zaczęłam nadrabiać zaległości.

Każdego roku lecimy gdzieś poznawać świat. Byliśmy już w ponad trzydziestu krajach świata. Zaliczyliśmy Europę, Emiraty Arabskie, Etiopię, Chiny, Tajlandię, Kambodżę, kilka razy Afrykę. Kilka miesięcy temu byliśmy w Tunezji na wyspie Dżerba w zatoce Mała Syrta, a kilka tygodni temu wróciliśmy z uroczej greckiej wysepki Zakynthos.

Nie szyję i nie szydełkuję. Już się w życiu naszyłam. Gdy dziewczynki były małe, a w sklepach pustki, sama szyłam im sukienki, paltka, robiłam na drutach sweterki i rękawiczki. Wtedy musiałam to robić. Dziś na szczęście nie muszę. Mogę podróżować, cieszyć się szczęściem córek, wnuczkami i pielęgnować kwiaty w ogrodzie. ■



Tu rządzią
yorki



fot. z archiwum prywatnego I. i S. Świków

Bez wątpienia w domu państwa Irminy i Sławomira Świków rządzą yorki. Tak pewnie jest w każdym domu, gdzie gospodarze kochają psy i gdzie psy czują się częścią rodziny. Miło popatrzeć na taką przyjaźń, ale nie to było powodem naszego spotkania. Powodem była chęć bliższego poznania człowieka, który lubi pomagać innym, a szczególnie niepełnosprawnym.

Strażacki mundur

Na oficjalnych uroczystościach gminnych można spotkać pana Sławka w wyjściowym, strażackim mundurze. Na gminnych imprezach, gdzie straż pożarna czuwa nad bezpieczeństwem, a pan Sławek jest na służbie, w hełmie i ubraniu bojowym. W jednym i drugim prezentuje się bardzo dobrze.

– Wszystko zaczęło się dawno, dawno temu w Korytnicy. Mój przyjaciel Krzysiek Tomaszek, który teraz jest prezesem OSP w Korytnicy, zaraził mnie pracą społeczną – mówi pan Sławek. – Przekonał, że wiele rzeczy w życiu można robić dla ludzi za uśmiech i za „dziękuję”. Od niego się wszystko zaczęło.

Po wojsku, jako młody chłopak wstąpiłem do OSP. Mieliśmy w straży żuka, wojskowe ubrania moro,



prezesem był świętej pamięci Antek Kowalczyk, naczelnikiem Krzysiek Tomaszek, urodzony społecznik.

Potem, był krótki okres przerwy w strażackiej aktywności, bo podjąłem pracę w MZK w Warszawie, zamieniłem strażacki mundur na uniform kierowcy i zamieszkałem w hotelu robotniczym na Rzymowskiego.

Myślę, że nikt z moich sąsiadów, a pewnie i niewielu mieszkańców naszej gminy ma wszystkie kategorie prawa jazdy, do tego uprawnienia operatora wózków widłowych i prowadzenia trolejbusów. Siedem lat jeździłem jako kierowca popularnego trajlusia po Warszawie, a wielu pasażerów pewnie jeszcze pamięta polkę „Trajluś” śpiewaną przez legendarnego Mieczysława Fogga.

*Na przystanku trajlusiowym
Słysząc takie są rozmowy:
„Co za cudna to maszyna
Sunie prosto, jak po szynach”.
(..)
Trolejbusem po Warszawie
Suniesz miękko, jak po trawie...*

– To była pamiętna dla mnie linia 51, której trasa zaczynała się w Piasecznie, dochodziła do Dworca Południowego przy Wilanowskiej, gdzie była pętla, i z powrotem do Piaseczna. Fajna trasa. Ważna dla mnie

też z innego powodu. W trolejbusie linii 51 woziłem, nie wiedząc o tym, moją przyszłą żonę. Jeździła codziennie trolejbusem do liceum w Warszawie.

Zobaczyłem ją w lusterku i teraz siedzi z Maksiem na kolanach. Razem jesteście dwadzieścia osiem lat. Trolejbusem jeździliśmy rok. Już nie musiałem patrzeć w lusterko, bo po kilku miesiącach znajomości jeździła ze mną w kabinie.

– Dojeżdżałam trolejbusem do Dworca Południowego, bo chodziłam do liceum ekonomicznego na ulicy Joliot Curie – uzupełnia pani Irmina. – Poznaliśmy się w 1989 roku, a w 1990 wzięliśmy ślub. W kwietniu byliśmy zaręczyni, w czerwcu matura, we wrześniu ślub. Szybko.

Zawsze chciałem być kierowcą. W szkole rolniczej, mając siedemnaście lat, zrobiłem prawo jazdy kategorii A, B i C. Ojciec planował zostawić mnie w gospodarstwie w Korytnicy, bo obie siostry i brat wyfrunęli z domu przede mną, ale brat po nieudanym małżeństwie na gospodarkę ojcowską wrócił, a ja wyfrunąłem do Warszawy.

Po ślubie najpierw zamieszkaliśmy u teściów w Jazgarzewszczyźnie, a potem zaczęliśmy budować obok nich dom. W 1996 roku poszliśmy na swoje.

Gdy rozwiązano zajezdnię MZK w Piasecznie i trolejbusy poszły do muzeum, przesiadłem się do karetki pogotowia. Pogotowie było w Piasecznie na Kościuszki.

Moje motocykle

– Za kawalerki w Korytnicy motocykle miałem zawsze. Pierwszy był Komar 3 z biegami w lewej rękojeści kierownicy. Dbałem o to cacko jak o skarb. Gdy zrobiłem prawo jazdy, miałem czterobiegowe WSK Kobuz, a po nim produkowany w NRD motocykl MZ-250, taki, jakiego mieli w milicji.

Gdy zacząłem pracę w Warszawie, na krótko porzuciłem swoją motocyklową pasję, bo pieniądze były



**...zobaczyłem ją w lusterku
i teraz siedzi z Maksiem na
kolanach**

potrzebne na budowę. W 1996 roku do niej wróciłem. Wstąpiłem do klubu Bractwo Motocyklowe Sokół. Kupiłem Yamahę Virago 535. Zgrabną maszynę z dużą ilością chromowanych elementów, a po niej Yamahę Virago 1100. Krążownik o pojemności silnika 1063 cm³.

Z klubową bracią do października 2008 roku jeździłem na złoty po całej Polsce. Zawsze sam albo z córką, bo żona motocykli nienawidzi. W pechowym październiku 2008 roku miałem w Warszawie wypadek. Jechałem do pracy i z uliczki osiedlowej wyjechał samochód – prosto na mnie. Skutek tego spotkania był dla mnie fatalny. Miałem połamane żebra, pękniętą przegrodę zatokową i nogę w szesnastu kawałkach, którą poskręcano na jedenaście śrub. Kości strzałkowej nie było. Została po prostu zmiażdżona.

Żyję dzięki ortopedzie, dr. Andrzejowi Ruszczakowi, który mnie jakoś tak szczęśliwie poskładał. Noga nie chciała się zrastać, dwa razy jeszcze trzeba ją było łamać, wreszcie trafiłem do szpitala w Poznaniu.

– Mieliśmy tam kontakty, bo w szpitalu miała operowany kręgosłup nasza córka, więc znaleźliśmy lekarzy – dodaje pani Irmina. – W Poznaniu zaproponowano Sławkowi magnetronik. Zabieg, który polegał na poddaniu organizmu działaniu pola magnetycznego niedużej częstotliwości. Pod wpływem tego pola, jony w ciele człowieka przemieszczają się i wzmacniają przemianę materii w organizmie. W Warszawie lekarze byli temu

...narzekanie nikomu dobrze nie robi

zabiegowi przeciwni, a okazał się on w przypadku Sławka skuteczny. Kości zaczęły się zrastać.

– Czasem boli, kuleję, ale chodzę – mówi z uśmiechem pan Sławek. – Mówiąc między nami, ja chyba już wszystko miałem połamane. Kiedyś z wysokości czterech metrów spadłem z naczepy na kostkę brukową. Miałem połamane ręce i skręcone kręgi. Chodziłem jak manekin. Innym razem pękła mi kaletka w łokciu, bo złapałem poślizg i wyłożyłem się na motocyklu. Miałem też złamany obojczyk, ale to było na początku mojej motocyklowej przygody. Trochę się w życiu nacierpiałem. Może dlatego tak dobrze rozumiem ludzi niepełnosprawnych.

Co tam choroba

– Gdy jeździłem w bractwie motocyklowym, poznałem stowarzyszenie Dobra Wola i Jacka Zalewskiego („moja Lesznowola” nr 2). Któregoś dnia powiedział: „Wiesz co, Sławek, organizujemy dla naszych podopiecznych Dzień Dziecka, może byś przyjechał na tej swojej maszynie?”

Impreza była na placu zabaw w Starej Iwicznej. Przyjechało czternastu jeźdźców na swoich wspaniałych maszynach. Dzieciaki były zachwycone. Każdy, kto chciał, abyśmy go przewieźli motocyklem, musiał dać datek na potrzeby stowarzyszenia.

Od tego dnia spotkania motocyklistów z podopiecznymi Dobrej Woli stały się tradycją. Nie było półkolonii



czy Wigilii, żeby nie przyjechali motocykliści. Trochę ich sponsoruję, bo wszystkiego po koleżeńsku nie da się załatwić. Trzeba kupić paliwo, przyjeżdżających z daleka zaprosić na obiad, ale to są koszty warte uśmiechu tych dotkniętych przez chorobę ludzi. Dobra Wola działa na rzecz osób upośledzonych umysłowo i fizycznie. Stowarzyszenie skupia wokół siebie rodziców, opiekunów oraz osoby takie jak nasza rodzina, którym nieobcy jest los ludzi chorych, niebędących w stanie samodzielnie funkcjonować.

Pamiętam początek naszego działania. Kilka lat temu na zebranie sołeckie (Jazgarzewszczyzna, Łoziska) przyjechał Jacek Zalewski. Mówił o swoim niepełnosprawnym synu i powiedział, że zakłada takie stowarzyszenie. Byliśmy wtedy z żoną świeżo po przeżyciach związanych z poważną operacją kręgosłupa naszej córki Eweliny. Słuchałem Jacka i beczałem jak dziecko. Powiedziałem sobie: „Na uszach stanę, a pomogę” i z sołectwa na rzecz stowarzyszenia popłynęły pierwsze pieniądze.

Nasza Ewelina przez kilka lat była w stowarzyszeniu wolontariuszką, a potem została wychowawcą i przez kolejne lata pracowała z chorymi. Cała nasza rodzina pomagała tym dzieciakom, nie tylko w czasie półkolonii, ferii świątecznych, ale i przy organizacji Tata Spartakiady.

Kiedy przyplątał się do mnie nowotwór nerki, musiałem na chwilę wyłączyć się z aktywnego działania. Cały czas jestem na chemii, ale się nie poddaję. Są dni, że mogę góry przenosić, i takie, gdy nie mogę wstać z łóżka. Ale kiedy patrzę na tych dotkniętych porażeniem mózgowym czy chorobą Downa, mówię: „Co tam moja choroba. Co tam mój ból, jeśli widzę, że mogłem zrobić coś, by oni byli uśmiechnięci”. Gdy mnie widzą, choć wielu z nich jest już dorosłymi ludźmi, mówią do mnie „wujku” i to mnie zawsze bardzo wzrusza. Sam jestem na rencie, ale przez to mam dla nich i dla mojej straży czas. Jak się chce, to zawsze jest co robić. Zawsze jest czas na działanie.



Gdyby nie to, że niedawno przyplątało się do mnie bolesne, szczególnie na zmianę pogody, łuszczycowe zapalenie stawów – tak bolesne, że muszę brać duże dawki leków przeciwbólowych i mam dni, gdy nie mogę w ogóle funkcjonować – to bym jak w piosence „jeszcze raz pofrunął”. Ale nie narzekam. Narzekanie nikomu dobrze nie robi. Działam.

Moja żona często powtarza: „W domu nie masz czasu coś zrobić, a do straży lecisz”. I trudno powiedzieć, że nie ma racji. Jestem w OSP w Mrokwie. Mam uprawnienia jako kierowca strażackiego wozu i na początku jeździłem do akcji. Po operacji już nie jeżdżę. Skończyłem kursy I i II stopnia, kurs kierowców mechaników, kurs dowódców, mam uprawnienia do prowadzenia pojazdów uprzywilejowanych, bo teraz, żeby jeździć do akcji, trzeba mieć pokończone różne kursy.

Spółecznik

– Wspomniałem, że działalnością społeczną zaraził mnie w Korytnicy mój przyjaciel, Krzysiek Tomaszek. Gdy zamieszkaliśmy w Jazgarzewszczyźnie, sołtys zaproponował mi wejście do rady sołeckiej. To było jakieś szesnaście lat temu. Zostałem przewodniczącym rady i zaczęliśmy działać.

– Tu przedtem nie działo się nic. Wiem, bo jestem stąd. Jazgarzewszczyzna i Zamienie to była taka ziemia niczyja na granicy Lesznowoli i Piaseczna – mówi pani Irmira. – Byliśmy ostatnią wsią, do której doprowadzono wodę. Potem bardzo długo nic się nie działo. Gaz każdy sam ciągnął do swojego domu, a dopiero potem, gdy przybywało mieszkańców, powstał społeczny komitet gazyfikacji. Nie było takiej lokomotywy, żeby o to wszystko zawalczyć. Ludzie zamykają się w swoich ogrodzeniach. Dopiero teraz zaczynają się stopniowo otwierać na innych, co jest bardzo optymistyczne, bo razem można więcej.

W ubiegłej kadencji byłem radnym z komitetu pani wójt Marii Jolanty Batyckiej-Wąsik i takim moim kochanym, wymarzoną dzieckiem kadencji było zorganizowanie dla dzieci sołectwa placu zabaw.



...w domu nie masz czasu coś zrobić, a do straży lecisz

Pamiętam, byłem dwa tygodnie po operacji, gdy posłaliśmy z żoną i dyrektorem Centrum Sportu Rafałem Skorkiem przygotować wszystko na uroczyste otwarcie, a tu na plac zabaw przyszły raptem trzy osoby. Cholera, za kilka minut przyjedzie pani wójt, zaproszeni goście, popatrzą i zapytają: „Dla kogo właściwie, chłopie, wybudowałeś ten plac? Wyśmieją mnie” – pomyślałem.

Otwarcie o siedemnastej, a dziesięć minut przed – trzy osoby! Ale spojrzałem na drogę w lewo, w prawo i zobaczyłem, że wali wiara z dzieciakami. Uff, ulżyło mi. Usiadłem potem na ławeczce, patrzyłem na radość dzieciaków, roześmiane twarze rodziców i pomyślałem z satysfakcją: „Strzał w dziesiątkę”.

Drugie takie nasze dziecko, bo żona jest w Komitecie Społecznym, to kanalizacja. Teraz jest prowadzony ostatni już etap i wszystko idzie bardzo sprawnie.

Praca w radzie gminy była bardzo ciekawym doświadczeniem, bo wszystkie podejmowane decyzje zapadały kolegiально. Ścierały się poglądy, interesy sołectw, a zwyciężał zawsze interes całej gminy. Tworzyliśmy mimo różnicy poglądów jeden zespół.



*...jak się coś robi,
to się zapomina o bólu*



Kolejnym doświadczeniem był kontakt z ludźmi. Nawet teraz, gdy nie jestem już radnym – zabrakło mi czterech głosów – ludzie do mnie ze swoimi problemami przychodzą, dzwonią, pytają, kiedy będzie chodnik, mówią, gdzie trzeba poprawić drogę, gdzie zamontować lustro, ułatwiające włączanie się do ruchu, i proszą o pomoc, gdy ich zalewa woda. – A radny bierze szpadel i idzie kopać rów – odpowiada pani Irmina.

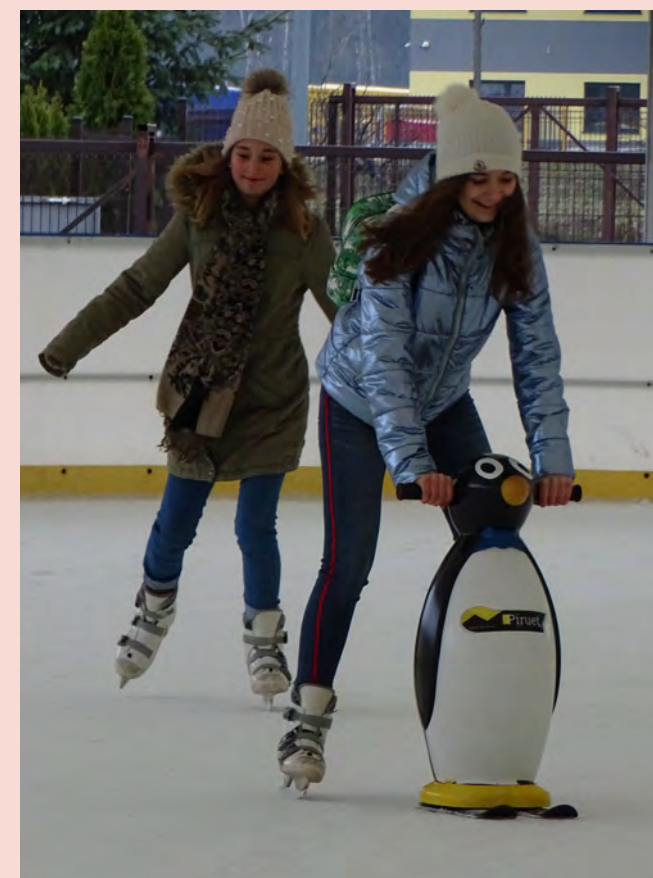
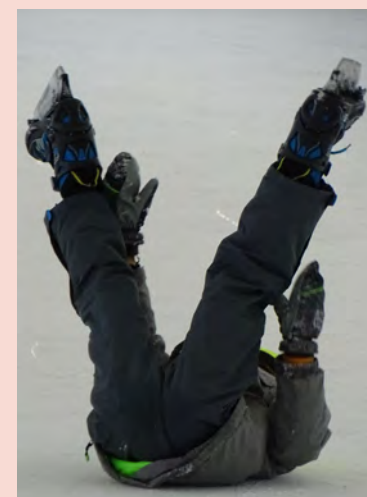
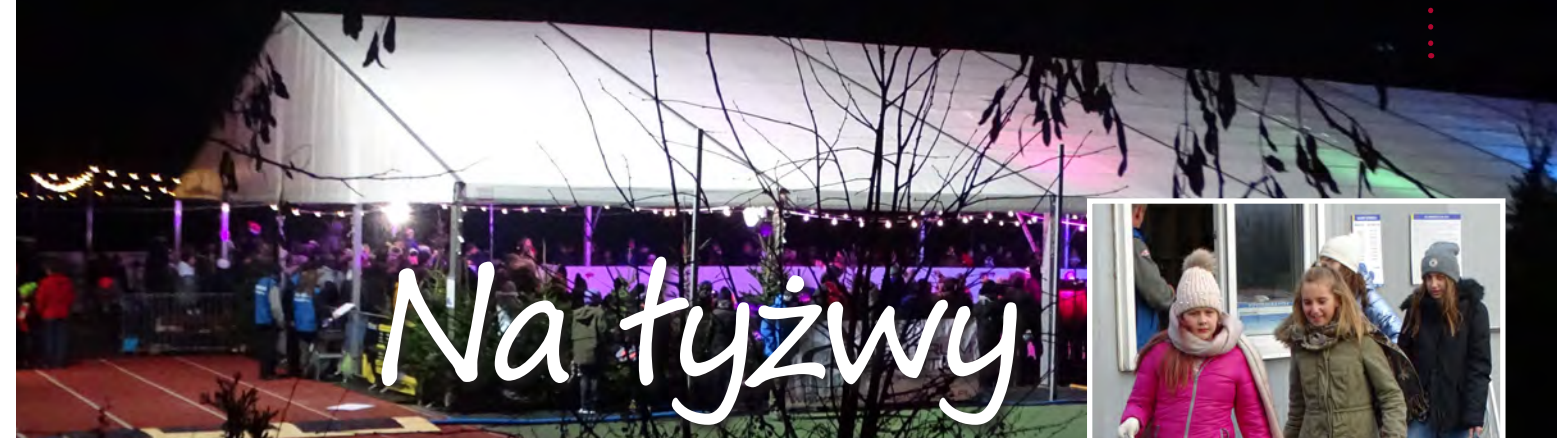
– Rzeczywiście, gdy spółki wodnej nie było, to często wskakiwałem w kalosze, brałem szpadel i szedłem kopać. Ja to uwielbiam. Czuję, że ludzie mają do mnie zaufanie, że jestem im potrzebny. Potem z uśmiechem mówią „dziękuję” i to wystarcza. Jak się coś robi, to się zapomina o bólu.

Gdy we wrześniu był w naszej gminie organizowany piekielny bieg Runmageddon, który przygotowywała też nasza OSP w Mrokowie, wylądowałem w punkcie medycznym, bo już nie mogłem z bólu wytrzymać. Dostałem kroplówki, przeleżałem pół godziny i wróciłem do swoich zadań.

Nikt mi pewnie nie uwierzy, ale mam kolegę w Dąbianowie, który z synem prowadzi duże gospodarstwo rolne nastawione na produkcję mleka. Jadę do niego,

wsiadam na potężnego John Deere'a czy New Hollanda i obrabiam te trzydzieści, czterdzieści hektarów. Patrzę na sarny, zające – bo tam jeszcze są – kuropatwy uciekające przed ciągnikiem i czajki, które u nas są rzadkością. Wieczorem wracam do domu zmęczony i szczęśliwy. W progu witają mnie radośnie Maksio, Moly i Lola. Muszę im opowiedzieć, gdzie byłem.

Tak naprawdę od dziesięciu lat walczę z chorobami i nie poddaję się. Śmieję się, że nikt jeszcze nie wystrugał takiej lagi, żeby mnie dobić. Nie cierpię litowania się nade mną. W garażu czeka na mnie robota. Wskreszenie produkowanego blisko czterdzieści lat temu polskiego motocykla Gazela. Mam nadzieję, że jeszcze razem w Polskę śmigniemy. ■



O tym, czy lodowisko jest potrzebne, świadczą najlepiej porzucone przed wejściem na taflę buty. Znak, że ich właściciele zdecydowali się zamienić pewne podbicie na łyżwy. Dlaczego to robią? Dla zabawy i przyjemności.

Centrum Sportu naszej gminy, jak co roku, zaprasza na otwarte przy szkole w Lesznówoli lodowisko. W tym roku lodowiska są dwa. Jedno mniejsze dla niepewnych swoich możliwości i drugie duże, dla tych, którzy, jak mówi młodzież, „wymiatają” lub przynajmniej tak uważają. Z własnych obserwacji wiemy, że każdy styl jest dozwolony i nikt nie ma kompleksów.

W soboty, niedziele i święta z lodowiska może korzystać każdy, kto ma łyżwy i każdy, kto łyżew nie ma, bo można je wypożyczyć na miejscu. Bilet dla dzieci i młodzieży do lat osiemnastu kosztuje pięć złotych. Dorośli płacą o dwa złote więcej.

Łyżwy można wypożyczyć za sześć złotych, a naostrzyć swoje za dziesięć. Za chodzik, który ułatwi utrzymanie się na lodzie, też dziesięć złotych.

Dzieci do lat dziesięciu powinny jeździć w kaskach i mieć na wszelki wypadek na rękach rękawiczki, a maluchy mogą poruszać się po tafli tylko w towarzystwie opiekunów.

Tyle informacji. Czas na zimowe ślizgi! ■

Wokół wielkiej choinki



moja Lesznówola

Po raz drugi przed urzędem gminy wokół choinki wyrosły świąteczne stoiska. Za chwilę będzie można powiedzieć, że to już tradycja.

Uczniowie i nauczyciele z lesznowskich szkół, ale też zwykli mieszkańcy sprzedawali dzieła własnych rąk. Były kolorowe stroiki, małe choinki, haftowane aniołki, domki z piernika, bombki i ciasta. Wszystkie zebrane pieniądze przekazane zostały na cele charytatywne. Na scenie dzieci śpiewały kolędy, w sztucznie ośnieżonej zagrodzie Mikołaj z Rudolfem pozowali do zdjęć, a specjalnie powołana komisja wybierała z mozolem najpiękniejszą bożonarodzeniową szopkę.

Na smakoszy czekały ryby z mazurskich jezior, pierogi i pieczone mięsa, a na spragnionych naturalne soki. Amatorzy mogli osłodzić sobie dzień chałwą, miodem i przetworami z borówki.

Można było też nauczyć się dekorować pierniki, robić świąteczne kartki i choinkowe ozdoby.

Właściwie były wszystkie elementy niezbędne, by poczuć atmosferę świątecznego jarmarku i tylko śniegu, tak jak w ubiegłym roku zabrakło.

Nim zaszło słońce, komisji udało się wybrać najpiękniejszą szopkę. To ona dziś zdobi naszą okładkę. Jest cała z makaronu pokrytego złotą farbą. Jej autorami jest Krysia, Antek i ich rodzice: Sylwia i Wiesław Lizakowie. W nagrodę cała rodzina dostała gry, voucher na choinkę i zaproszenie do term w Uniejowie. Zwycięzcom gratulujemy pomysłu i samozaparcia w budowaniu misternej konstrukcji.

Dziś dzwonki Rudolfa już nie dzwonią, a sanie z Mikołajem odjechały. Pewnie wrócą do nas za rok, bo atmosfera świąt Bożego Narodzenia ma to do siebie, że co roku powraca i tak samo zachwyca. ■

Dlaczego lubimy świąteczne jarmarki? Bo są zapowiedzią najcieplejszych, rodzinnych świąt. Dają piękny i prosty przekaz. Weź dobre słowo na święta. Podziel się życliwością ze znajomymi. Wypij szklankę gorącego barszczu i zrób sobie zdjęcie z Mikołajem. Poczuj atmosferę nadchodzących dni i... baw się dobrze.

fot. z archiwum prywatnego Henryka Masiuła

Przez Krasnojarsk do Jazgrzewszczyzny

– Z tamtego okresu pamiętam niewiele. Najbardziej sanki, które zrobił mi ojciec. Pamiętam też, że rano wpadło do wsi NKWD, potem ten rwetes w domu, bo kazali się szybko spakować. Żołnierze otaczali domy, zabierali całe rodziny i wieźli w nieznane. To było na Wileńszczyźnie, gdzie mieszkaliśmy – wspomina kapitan pilot Henryk Masiul.

– W naszej gminie mieszka wielu pilotów. To dobra lokalizacja z uwagi na miejsce pracy w PLL Lot – mówi pan kapitan. – Na Okęcie blisko i okolica bardzo ładna. Kiedy kupowaliśmy działkę w Jazgrzewszczyźnie, wszędzie były pola. Parę zabudowań przy ulicy Leśnej i to wszystko. Najbliższy kolega, też pilot, mieszkał w Gołkowie.

Aby trafić do naszej gminy, pan Henryk odbył długą drogę. Opowiemy o niej.

Wizyta nieproszonych gości

– Był początek września 1951 roku. Zaraz po żniwach. Iosif Wissarionowicz Dżugaszwili, czyli Józef Stalin, zafundował mojej rodzinie bezpłatną wycieczkę bydłocymi wagonami na Syberię, bez prawa powrotu do ojczyzny. NKWD weszło do naszej litewskiej wsi Pobrzenie o piątej rano. Zaczęło się rozkułaczenie. Sowieccy żołnierze otoczyli dom, dali kilka godzin na spakowanie niezbędnych rzeczy i przez te kilka godzin ojciec z mamą zdążyli zabić świniaka, szybko zrobić kielbasy, zapakować w płótno jakby wiedzieli, że droga będzie długa.

W południe furmanki ruszyły. Moi rodzice, babka, ja i brat razem z innymi jechaliśmy furmanką czterdzieści kilometrów na dworzec w Wilnie. Miałem wtedy cztery i pół roku, a brat zaledwie dziewięć miesięcy. Od tego dnia zaczyna się moja pamięć. To było moje pierwsze wielkie przeżycie.

Wieczorem dotarliśmy na dworzec. Tam zapakowano nas do bydłocych wagonów z jednym zakratowanym okienkiem, piecem z beczki pośrodku, i ruszyliśmy w długą, trwającą miesiąc, podróż do Krasnojarska. Raz na kilka dni pociąg się zatrzymywał, otwierano wagon



i podawano nam chleb, solone śledzie, wodę i opał. Za ubikację służyła nam dziura w podłodze wagonu. Gdy dotarliśmy na miejsce, był październik. Tam zima, mróz.

Pamiętam jak dziś te wszy w wagonach. Gdy strzepywaliśmy je nad pieczką, to tylko strzelały. Do dziś mam też w uszach stukot kół wagonów. Przez cały miesiąc słyszałem to monotonne du, du du, du, du du... Jako dzieciaka dopuszczali mnie do tego zakratowanego okienka w wagonie. Ciągłe mam w oczach twarze mijających podczas jazdy ludzi. Rosjanie nie patrzyli na okna wagonów, tylko siedzieli ze spuszczoneymi głowami. Może się wstydzieli? Nie wiem. Nasze spojrzenia nigdy się nie skrzyżowały.

W Krasnojarsku przez całą noc setki ludzi czekało na brzegu Jenisieju na statki rzeczne. Rano popłynęliśmy Jenisejem w nieznane. Po drodze mijaliśmy pływające bocznołowce z kołami napędowymi po obu stronach burt i łodzie z silnikami z pomocy amerykańskiej, takie, jakie można spotkać w Tajlandii.

Płynęliśmy siedemdziesiąt kilometrów na północ od Krasnojarska i dopłynęliśmy do Atomanowa. Tu czekały ciężarowe zisy i zawiozły nas do nieistniejącej obecnie wsi Dubrowa w rejonie Sushobuzimskoje.

Gdy dotarliśmy do Dubrowa, zobaczyliśmy, że we wsi są same kobiety. Zimą przetrwaliśmy u miłej pani Worobiowej, a wiosną ojciec rozpoczął budowę małej chałupki. Przede wszystkim zabrał się za murowanie pieca, bo po zimowym doświadczeniu wiedzieliśmy, że piec jest tu podstawą przetrwania. Cegły na piec wyrabiał z gliny.

**...ojciec i mama
pracowali
w kołchozie, a my
ze Stasiem,
biegaliśmy po wsi**



Później siostra taty przysłała trochę pieniędzy i nam pomogła. Rodzice mogli kupić połowę chałupy. Właściwie to była taka ni to chata z drewna, ni lepianka z sienią i piecem na środku komnaty i dachem z darni. W piecu można było upiec chleb.

Tam wszystkie domy były podobne. Mieszkaliśmy w nim przez kolejne cztery lata. W 1955 roku na Sybirze urodziła się moja siostra. Ojciec i mama (Ignacy i Stanisława) pracowali w kołchozie, a my ze Stasiem, który dorastał, biegaliśmy po wsi. Opiekowała się nami babka, ale i ona w „trudowyje” dni pracowała w kołchozie, więc musieliśmy radzić sobie sami. Ja pasłem cielęta i przez dwa lata chodziłem do rosyjskiej szkoły.

Powrót do Polski

– Do Krasnojarska jechaliśmy miesiąc. Wielki Wódz, który zafundował nam wycieczkę do Krasnojarskiego Kraju, zmarł 5 marca 1953 roku i pojawiła się nadzieja na powrót. Trzy lata później, jesienią w 1956 roku wracaliśmy do Polski. Jechaliśmy tydzień.

Miałem dziewięć lat i pierwszy raz w życiu po drodze zobaczyłem samolot, bo oni tam na tych wielkich obszarach próbowali siać zboża z samolotów. Ziemia była tak urodzajna, że nie wymagała nawozów. Samolot stał na polu, a koło niego kręcili się piloci w czarnych skórzanych kurtkach. Był to zaprojektowany przez znanego rosyjskiego konstruktora Nikołaja Polikarpowa popularny kukuruźnik, czyli dwupłatowy samolot wykorzystywany do zadań agrolotniczych.

Ten samolot był później na rosyjskiej licencji jako CSS-13 produkowany w Polsce.

Przyjechaliśmy przez Brześć do ciotki Franciszki na Mazury, która w 1946 roku w ramach repatriacji wysie-

dlona z Wilna dostała poniemieckie gospodarstwo we wsi Trygort w powiecie węgorzewskim. U niej przezimowaliśmy. Potem ojciec kupił od banku gospodarstwo, bo o gospodarstwo było łatwiej niż o pracę, a ja, nie znając polskich liter, poszedłem do szkoły podstawowej, która była we wsi. Od razu do trzeciej klasy, bo tylko w niej było miejsce. Gdy skończyłem szkołę podstawową, rodzice wysłali mnie do technikum mechaniczno-elektrycznego w Olsztynie.

Był rok 1964, gdy przypomniałem sobie ten ruski samolot w drodze do Polski. Zapisałem się do aeroklubu.

Pierwsze loty

– Zacząłem się udzielać w aeroklubie olsztyńskim. Ponieważ nie miałem pełnej ostrości wzroku, mogłem na początku być tylko skoczkiem. Z czasem, Bóg wie dlaczego, wzrok mi się poprawił na tyle, że mogłem latać. Poszedłem na szkolenie szybowcowe. Podobało mi się. Nabrałem ochoty na dalszą naukę, a że zbliżał się pobór do wojska, skończyłem szkolenie na samolotach typu Bies.

Biesy to były polskie samoloty jednosilnikowe zaprojektowane na zamówienie lotnictwa wojskowego przez inżyniera Tadeusza Sołtyka, konstruktora lotniczego i w latach 1964 – 68 służyły do szkolenia pilotów wojskowych. Potem zostały zastąpione przez odrzutowce TS-11 Iskra.

**...Biesy to były polskie
samoloty jednosilnikowe**

Przyszedł rok 1968. 20 sierpnia 1968 o godzinie 23.00 rozpoczęła się operacja „Dunaj”, czyli inwazja wojsk Układu Warszawskiego na Czechosłowację. Największa operacja wojskowa w historii Europy po II wojnie światowej. W aeroklubie na dwa dni przerwano loty. Gdy skończyłem szkolenie na Biesach, trafiłem do wojska, do szkoły oficerskiej w Dęblinie. Po trzech miesiącach napisałem prośbę o zwolnienie. Namawiali mnie, bym został, ale nie zmieniłem zdania, więc mnie w końcu ze szkoły wydali. Czekala mnie zasadnicza służba wojskowa. Dwa lata.

Ponieważ na początku mojej przygody z lotnictwem skakałem ze spadochronem i miałem spore doświadczenie, brałem udział w organizowanych przez wojska lotnicze wielobojach desantowych. Zawody polegały na tym, że trzeba było wyskoczyć ze spadochronem, wylądować w oznaczonym punkcie, potem z karabinem przebiec trzy kilometry, wykonać strzelanie i rzucić granatem na odległość.

Udział w tych zawodach brali żołnierze wojsk lotniczych, desantowych, potem też z jednostki specjalnej z Dziwnowa. Często wyjeżdżałem na obozy sportowe, więc moja zasadnicza służba wojskowa przebiegała szybko. W jednostce byłem tylko w zimie. Wczesną wiosną już wyjeżdżaliśmy na zgrupowanie do Dębina albo na lotnisko do Podłodowa, gdzie od 1945 roku na radzieckich samolotach szkolno-treningowych UT-2 szkolono pilotów dla Ludowego Wojska Polskiego. Czasami na lotniskach bazowały radzieckie samoloty Po-2. Takie, jak widziałem w drodze z Krasnojarska do Polski.

W Podłodowie spotkałem Wietnamczyków, którzy się u nas szkolili na antonowach. Pamiętam, że bardzo dobrze grali w siatkówkę. Byli jak na siatkarzy niskiego wzrostu, ale za to bardzo skoczeni i sprytni.



**...na początku przygody
z lotnictwem skakałem ze
spadochronem**

Koniec z wojskiem

– Po zasadniczej służbie wojskowej wróciłem do cywila. W aeroklubie olsztyńskim szybko zrobiłem uprawnienia instruktorskie i zostałem instruktorem spadochronowym. Latałem, na czym się dało od rana do nocy. Zdobyłem spore doświadczenie i nawet w 1974 roku przenieśliem się do aeroklubu elbląskiego, bo tam były lepsze warunki. Zrobiłem uprawnienia instruktora samolotowego. Rozpocząłem też szkolenie na agro, bo wtedy był taki czas, że usługi agrolotnicze stawały się popularne. Piloci z tymi uprawnieniami wyjeżdżali za granicę i pracowali w Egipcie i w Sudanie.

Rok 1975 był w moim życiu rokiem przełomowym. Ożeniłem się z poznaną w aeroklubie olsztyńskim dziewczyną. Sabina skończyła na szybowcach, potem w skokach spadochronowych. Wykonała kilkanaście skoków i ten życiowy – została moją żoną. Mieszkaliśmy w Elblągu. Robiłem wtedy na Żuławach uprawnienia agrolotnicze.

Pamiętam, że to były ciężkie latania, bo na Żuławach były małe pola, a teren do lądowania grząski. Dziś bym tam nie lądował. Na krótkich polach, szczególnie przy





silnych bocznych wiatrach były zawsze problemy. Kierunek startu był jeden, bo z drugiej strony drzewa, lądować trzeba było z wiatrem, więc różnie bywało.

Chciałem lecieć do Afryki, ale już nie decydowałem sam. Żona mnie nie puściła. Dziś tak sobie myślę, że dzięki niej miałem szczęście. Większość moich kolegów, instruktorów, tam pod niebem Afryki zginęło w wypadkach. Przybyszewski – zginął, szef szkolenia z Olsztyna Jakubisiak – zginął, chyba gdzieś w Sudanie zderzył się z innym samolotem. Jan Tomaszewski z Elbląga spalił się żywcem, bo wystartował przeciążonym gawronem, zaczepił o linię elektryczną, samolot spadł, zakleszczyło go w kabinie i już z niej nie wyszedł. Spłonął razem z gawronem. Kilku takich kolegów przetransportowałem kilka lat później do kraju w tylnym bagażniku samolotu TU-134 z Kairu.

W tym samym 1975 roku trafiła mi się okazja. Nabór do PLL Lot. Potrzebowali pilotów na wchodzący



do eksploatacji radziecki wąskokadłubowy, turbośmigłowy samolot pasażerski An-24, zaprojektowany w biurze konstrukcyjnym Olega Antonowa. Dostałem się, przeszkoliłem. Wszystko przebiegło bardzo szybko.

W grudniu 1975 roku urodziła nam się córka i żona nie chciała zostać w Elblągu. Przyjechała do Warszawy i zatrudniła się w Centrum Rehabilitacji im. prof. Mariana Weissa „STOCER” jako pielęgniarka. Mieszkaliśmy w różnych miejscach. Po chyba trzech latach dostałem z puli PLL Lot mieszkanie koło toru wyścigów konnych w Warszawie na Janowskiego. Tak rozpoczęła się moja trzydziestosiedmioletnia kariera w Polskich Liniach Lotniczych LOT.

Dwa lata w powietrzu

– Zaczęło się od szkolenia i lotów na TU-134, potem na TU-154. Szkolenia odbywały się w Wyższej Szkole Pilotów Lotnictwa Cywilnego w Uljanowsku.

Z Tu-154 w 1992 roku przesiadłem się na Boeinga-737, przechodząc przedtem szkolenie w ośrodku szkolenia w Seattle w stanie Waszyngton. Miałem szczęście jako drugi pilot odbyć z kapitanem Moskwą pierwszy w Polsce rejsowy lot na Boeingu-737. To był rejs z Warszawy do Zurichu. Trafił mi się przez przypadek, bo samolot miał lecieć poprzedniego dnia, ale był jakiś podciek pompy olejowej i drugiego dnia ja akurat byłem w grafiku lotów.

Po paru latach przesiadłem się na lewy fotel i karierę skończyłem jako kapitan lotnictwa w 2012 roku. Na Boeingach-737 latałem dwadzieścia lat.

Przez trzydzieści siedem lat wylatałem dwadzieścia tysięcy czterysta osiem godzin. W sumie ponad dwa lata w powietrzu.

Najgorsze, co mnie spotkało, to dwa czy trzy trafienia pioruna w mój samolot podczas lotu. Huk słyszą wszyscy pasażerowie, ale to nie jest dla samolotu niebezpieczne.

Pamiętam poranny rejs z Katowic do Warszawy 1976 roku. Z kpt. Stefanem Jochemczykiem i mechanikiem Markiem Przewdziakiem lecieliśmy samolotem AN-24. Było około zera, padał śnieg z deszczem. Pasażerowie

weszli na pokład, dostaliśmy zgodę na kołowanie i kołowaliśmy do pasa startowego. Kiepsko to szło, bo było piekielnie ślisko, ale zajęliśmy pas i dostaliśmy zezwolenie na start. Kapitan rozpędził maszynę, poderwał samolot, a ten wystrzelił w górę, czyli jak to się u nas mówi „stał na niebie krzyżem”. Kapitan wydał komendę: „schować podwozie”, a gdy się schowało, samolot na chwilę przepadł w dół i nabierał prędkości.

Poszedłem do przedziału pasażerskiego i zobaczyłem, co było przyczyną kłopotów. Pasażerowie skupili się przy ogonie, bo tam było ciszej. Kazałem im wracać na miejsce, a kapitan w tym czasie wyrównał lot i wszystko skończyło się dobrze.

Kiedyś, gdzieś nad Damaszkim leciałem nocą z kpt. Waldemarem Gomońskim Boeingiem-737 i w pewnej chwili usłyszeliśmy huk. Chmury, ciemno, nic nie widać tylko słysząc. Bardzo blisko nas znalazł się IL-18. Jedyną reakcją kapitana było pytanie: „Słyszałeś jaka ta osiemnastka jest głośna?”.

Pewna przygoda przytrafiła mi się pod koniec latania w rejsie z Tel Awiwu do Warszawy. Po starcie z lotniska nie chciały się w maszynie schować kłapy. Z wysuniętymi do Polski bym nie doleciał.

Musiałem trochę polatać, żeby spalić paliwo, bo Boeing-737 nie ma zrzutu paliwa, tylko trzeba je zużyć, by zredukować ciężar do lądowania. Krążyłem jakieś dwie, trzy godziny. Na pokładzie była pielgrzymka i pielgrzymi wpadli w panikę. Ludzie zaczęli się modlić. Na szczęście stewardesa szybko zarządziła posiłek i pasażerowie zajęli się jedzeniem. Wylądowaliśmy szczęśliwie. Gdy przyleciałem do Warszawy ktoś, może pasażer, powiedział: „Gdyby tak długo nie latał nad Tel Awiwem, bylibyśmy w Warszawie dużo wcześniej”.

Nie ma trudnych lądowań. Albo się ląduje, albo nie. Wiedzą o tym wszyscy piloci. Między nimi mój syn, który – gdy skończył siedemnaście lat – ni stąd, ni zowąd nagle zapragnął latać. Szybko trafił do aeroklubu olsztyńskiego, przeszedł badania i zaczął się szkolić na szybowcach. W następnym roku zafundowałem mu szkolenie lotnicze na samolotach. Rozpoczął pracę w lotnictwie sanitarnym, najpierw jako dyspozytor, a potem jako pilot. Latał na mewie w Krakowie, w Szczecinie. Potem przeszkolił się na Boeinga-737. Kapitanem został w wieku 27 lat.

Jazgarzewszczyzna

– To, że trafiliśmy do Jazgarzewszczyzny, było czystym przypadkiem. Zobaczyłem ogłoszenie w gazecie, że w Jazgarzewszczyźnie są do kupienia działki. Umówiliśmy się z autorką ogłoszenia i przyjechaliśmy na wieś. Cisza, spokój, dookoła pola i kilka domków przy Leśnej. Właścicielka gruntu podzieliła swoje pola i sprzedawała działki. Chciała po sześć dolarów za metr kwadratowy. Powiedziałem, że jak będzie po pięć dolarów, to poproszę o telefon.



...na Boeingach-737 latałem dwadzieścia lat

Za dwa czy trzy miesiące telefon zadzwonił. Odczekaliśmy do grudnia. Córka kończyła osiemnaście lat. To był 1992 rok, akurat po przeszkoleniu na Boeinga-737. Kupiliśmy ziemię po pięć dolarów i byłem chyba pierwszym, który zaczął się w Jazgarzewszczyźnie budować. Na jesieni kupiłem krokwie, deski i tak się zaczęła budowa. Musieliśmy doprowadzić prąd, gaz, wykopać studnię, zrobić szambo i tak dalej. Dziś już się z tego nie korzysta, bo jest gminna kanalizacja i wodociągi.

Wybudowałem najpierw ten dom, a potem, gdy córka wyszła za mąż i urodziły jej się bliźniaczki, to dobudowałem dla nich przybudówkę. Przenieśli się więc z bloku, gdzie mieszkali, do nas na wieś. On muzyk, ona malarka, dwoje dzieci, więc to było najlepsze rozwiązanie. A gdy urodził się jeszcze wnuczek, postanowiliśmy zrobić małe przemeblowanie. Oni, pamiętam, gdzieś wyjechali z dziećmi, a my z żoną, która po trzydziestu latach stania przy tablicy jako nauczycielka przeszła na emeryturę, szybko zrobiliśmy remont. Po powrocie oni zajęli dom, a my wybudowaną dla nich przybudówkę.

Ot i cała historia. Droga z Wileńszczyzny, przez Krasnojarski Kraj do Jazgarzewszczyzny. ■



fot. z archiwum prywatnego Anny Niezabitowskiej

Na facebookowej stronie Anny Niezabitowskiej z Nowej Woli czytamy interesującą myśl: „Noc jest tą porą, kiedy myśli ludzi spotykają się, więc może jesteśmy teraz razem?”. Ponieważ noc nie jest porą, kiedy rozmawiamy z mieszkańcami naszej gminy, których przedstawiamy w „mojej Lesznowoli”, spotkaliśmy się przed południem. Na zimowej herbacie w „Ojcowiznie”.

Kura domowa

– Jestem nocnym markiem. Rano uwielbiam spać. Wieczory są moje. Dzieci śpią, w domu króluje cisza i mogą zająć się sobą. Mogę czytać, uczyć się lub obrabiać zdjęcia, siedząc przy komputerze. To jest ten czas, kiedy nikt mi nie przeszkadza – wyjaśnia pani Anna.
– Nie umiem wskazać godziny, o której odkładam wszystko i o której zaczyna się dla mnie noc. Staram się nie przeciągać dłużej niż do pierwszej po północy, bo to bardzo denerwuje nasze koty. O tej porze zawsze są w domu, rozciągają się na łóżku i czekają, kiedy się położę. Jeśli mam interesującą książkę, koty z nią przegrywają. Czytam, aż skończę.

Spotterka

– Nigdy nie interesowałam się fotografią. Przez wiele lat pracowałam w kancelarii prawnej i naprzeciw mnie siedział młody prawnik, który zajmował się hobby-stycznie fotografią. Robił zdjęcia, przeglądał je, opowiadał, jak je zrobił, ale nie zdołał mnie zainteresować swoją pasją. Wprawdzie patrzyłam na ten jego sprzęt z pewną zazdrością, ale im dłużej patrzyłam, tym bardziej byłam przekonana, że to musi być piekielnie trudne. Że to nie polega na tym, by wyjąć aparat, wycelować i pstryknąć.

Jakieś trzy lata temu, wędrując po Facebooku, trafiłam na zdjęcia samolotów. Były przepiękne. Autorami ich byli czatujący przy lotniskach spotterzy. ojechałam na Okęcie. Przy ogrodzeniu lotniska, na specjalnie usypanym wzniesieniu zobaczyłam pasjonatów z aparatami. Myśliwych, czekających z aparatami gotowymi do strzału. Gdy lądowały lub startowały samoloty,

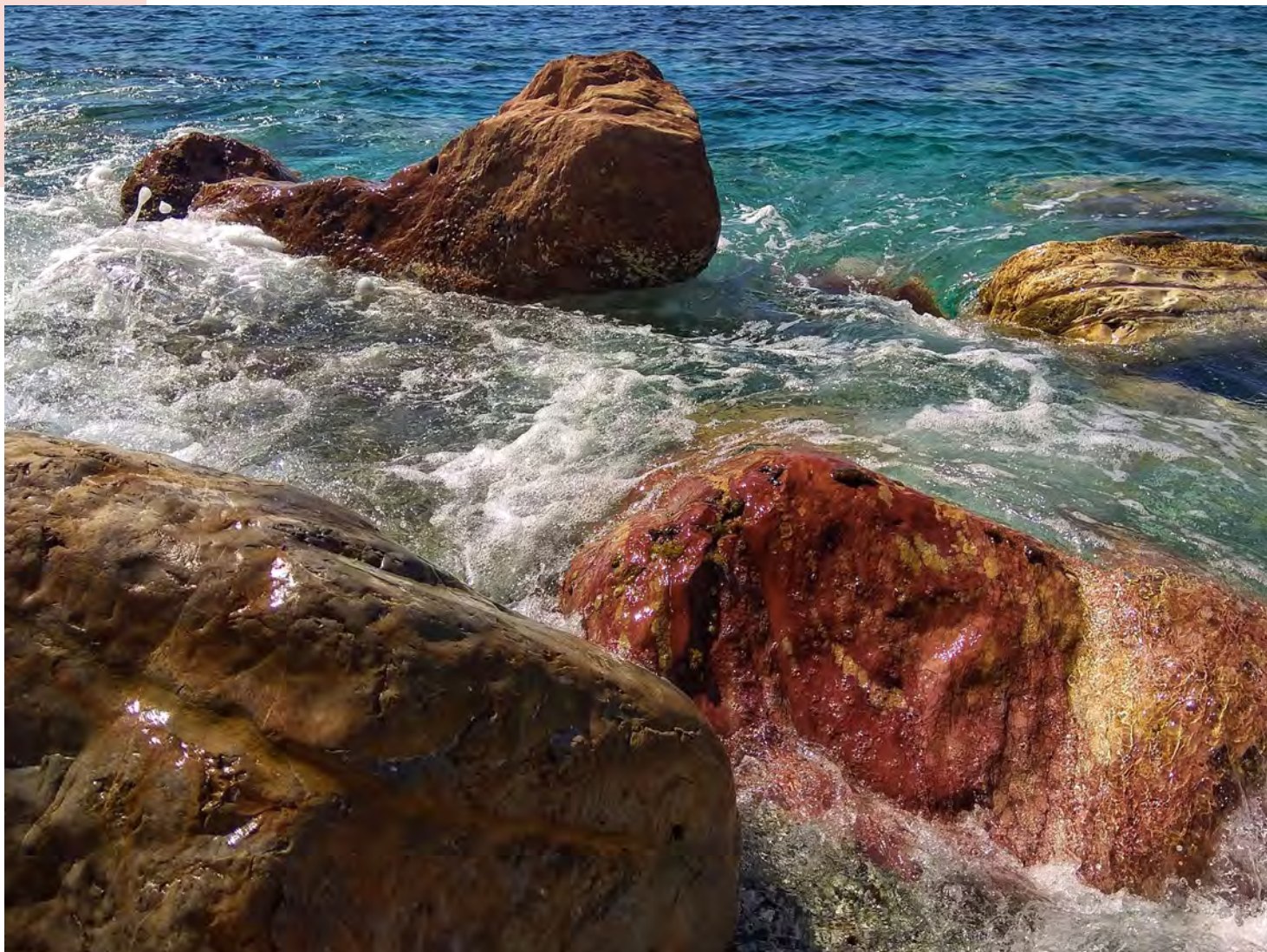


do ryku silników dochodziła kanonada migawek aparatów fotograficznych. Spotterzy przystępowali do akcji.

To był fascynujący widok. Pomyślałam, że chcę to robić. I to była myśl pierwsza. Myśl druga była mniej przyjemna. Muszę zostawić swój aparat fotograficzny i zastąpić go profesjonalnym sprzętem. Jeśli chcę być spotterką, muszę mieć taki sprzęt, jaki mają oni. Inaczej nie mam co marzyć o dobrych zdjęciach.

Wymieniłam stary aparat na nowy i zaczęłam się uczyć fotografii, bo żeby pstrykać, trzeba wiedzieć jak i kiedy. Trzeba coś wiedzieć o sztuce fotografowania. Wiedzieć, co może aparat, jak komponować zdjęcia, jak je robić w różnych warunkach, jak wykorzystywać światło. Mogłam sięgnąć po książki, bo jest ich na ten temat wiele, mogłam wertować internet, ale doszłam do wniosku, że najlepszy będzie kontakt z żywym człowiekiem, który na tej sztuce się zna.

...cały czas
chodzę
z aparatem
i fotografuję



Znalazłam takiego człowieka. Był to Marek Waśkiel, fotografik, dziennikarz, podróżnik, który prowadził dziesięciodzienne kursy fotografii w Warszawie na Stawki. „Moim celem jest to, by po dziesięciu tygodniach kursu fotografia stała się Twoją pasją, a fotografowanie zaczęło sprawiać Ci wielką radość!” – zachęcał na swoim blogu pan Waśkiel i to była ta zachęta, której potrzebowałam.

Zapisałam się na kurs, nauczyłam się fotografować i fotografia stała się moją pasją. Teraz mogę tylko swoją wiedzę poszerzać, bo już ją mam.

Cały czas chodzę z aparatem i fotografuję. Nie mam swoich ulubionych tematów, po prostu temat przychodzi sam. Na początku myślałam, że interesuje mnie street foto, czyli fotografia uliczna – z zaskoczenia. Do tego trzeba jednak mieć dużo odwagi, bo nie każdy lubi być fotografowany z zaskoczenia. Ja trochę się boję takich bezpośrednich spotkań, bo strzelać obcemu człowiekowi prosto w twarz – mówiąc językiem ulicy – łatwo nie jest.

Można się spotkać z bardzo nieprzyjemnymi reakcjami i trudno się fotografowanym w ten sposób ludziom dziwić.

Ostatnio jako fotograf miałam przyjemną przygodę portretową, bo w czasie ostatniej kampanii wyborczej do wyborów samorządowych zaproponowano mi zrobienie portretów kandydatów na radnych i wójtów. To nie jest zadanie łatwe, więc poczułam się bardzo doceniona, gdy ludzie zaczęli się do mnie zgłaszać, bym zrobiła im zdjęcia do ulotek wyborczych i plakatów.

Przyznam się, że robiłam ponad setkę tych portretów, choć bardzo się broniłam. Lubię, gdy portretowani ludzie podobają się sobie, a osiągnąć taki efekt łatwo nie jest. Ludzie inaczej siebie postrzegają i inaczej widzą na fotografii. Ale udało się. Większość fotografowanych była zadowolona i wielu w wyborach wygrało, więc mam w ich sukcesie jakiś mały udział.

Moim ulubionym zdjęciem jest fotografia Bożenki Obluckiej, naszej radnej. Bardzo się podczas



sesji stresowała, ale gdy się uśmiechnęła, pokazała całe swoje wnętrze. Pokazała, jaka jest naprawdę.

Mam też na swoim koncie dwa fotograficzne sukcesy. Wygrałam konkurs „Kolorowe wakacje” organizowany przez nasz GOK. Wysłałam na konkurs zdjęcie z mojej ulubionej Ligurii, jednego z najpiękniejszych regionów we Włoszech, który jest pełen malowniczych, bajecznych wręcz kurortów położonych nad Morzem Liguryjskim. W miasteczkach Cinque Terre sfotografowałam przepiękne kamienie w morzu. Różowo-złote kamienie, w krystalicznie czystej, błękitnej wodzie Morza Liguryjskiego. Tym zdjęciem wygrałam konkurs.

Drugi sukces to wygrana w konkursie „Piaszczyńskie rzeźby Józefa Wilkonía”, znanego w świecie polskiego ilustratora, malarza, historyka sztuki. Zrobiłam zdjęcie hipopotamów artysty na skwerze Kisiela. Zdjęcie było przepiękne i pierwsza nagroda trafiła do mnie.

Nigdy nie myślałam, że potrafię takie zdjęcia robić, a ku mojej radości i wielkiej satysfakcji okazało się, że potrafię.





Radna

– Moje miejsce urodzenia to Nowa Wola. Tu się wychowałam. Z wykształcenia jestem teologiem. Po liceum wybrałam się studiować teologię do Akademii Teologii Katolickiej. Gdy byłam na trzecim roku, na bazie ATK powstał Uniwersytet Kardynała Stefana Wyszyńskiego.

Interesowała mnie bioetyka, czyli zagadnienia takie jak relacja lekarz-pacjent, leczenie niepłodności (in vitro), antykoncepcja, aborcja, klonowanie, komórki macierzyste, inżynieria genetyczna, genetycznie modyfikowana żywność, wykorzystanie tkanek i narządów do transplantacji, sztuczna inteligencja, eutanazja, etyka środowiska naturalnego, przedłużanie życia i inne zagadnienia, które mnie, osiemnastoletnią, ciekawą świata dziewczynę bardzo wtedy fascynowały. Chciałam spojrzeć na te wszystkie zagadnienia przez pryzmat wiary katolickiej.

Studiuwałam je na czwartym i piątym roku, ale moje życie potoczyło się później tak, że z wybranym kierunkiem nic zawodowo wspólnego nie miałam i nie mam. Wiedza, jaką zdobyłam, warta jednak była tego wysiłku. Wiem, że jak ktoś słyszy „teologia”, to myśli „ksiądz”. Na moim roku studiowało sto dwadzieścia osób, w tym tylko czterech chłopaków. Reszta to same ciekawe świata dziewczyny. Gdybym miała te osoby zdefiniować jednym zdaniem, powiedziałabym, że byli to ludzie poszukujący odpowiedzi na nurtujące ich pytania. Różne pytania.

Dla przykładu pytania o Boga, o tajemnice dogmatów, których treścią są twierdzenia Objawienia Bożego zawarte w Piśmie Świętym i w apostołskiej tradycji, o całą społeczną naukę kościoła czy teologię

fundamentalną, która szuka argumentów za zasadnością wiary chrześcijańskiej.

Skończyłam studia i z dyplomem magistra teologii nie poszłam teologiczną drogą – śmieje się pani Anna. – W czasie studiów, na czwartym roku wyszłam za mąż i życie zaczęło trochę weryfikować zdobytą wiedzę. Podjęłam pracę w kancelarii prawniczej. Potem urodziłam Tymka – ma on teraz czternaście lat, Stefana – ma lat sześć i Lusie, która za chwilę skończy pięć. Zaczęłam być prawdziwą kurą domową.

Odszkodziłam od domowych obowiązków w 2014 roku znalazłam w radzie gminy. To była moja pierwsza kadencja. Wtedy były jednomandatowe okręgi wyborcze, założyliśmy z kolegą komitet i wystartowaliśmy do Rady Gminy Lesznówola. Zostałam wybrana i zaczęło się angażowanie w życie wsi, gminy, w pracę społeczną na rzecz mieszkańców Nowej Woli, straży pożarnej i tym podobne zajęcia. Przedtem nie interesowałam się sprawami gminy, nie miałam potrzebnej wiedzy, ale spotkałam na swojej drodze osoby, które wiedzę miały i chciały się ze mną nią podzielić.

Żeby nie zostawać w tyle, nie obiecywać wyborcom rzeczy niemożliwych i być partnerem w rozmowach z urzędami, postanowiłam się dokształcić. Poszłam na podyplomowe studia z finansów publicznych i z prawa administracyjnego, bo dobrze to znać i rozumieć. Zresztą, prawo zawsze mnie pociągało, więc uczyłam się z przyjemnością. W ogóle lubię się uczyć. Teraz podyplomowo studiuje zarządzanie, a ponieważ w ostatnich wyborach samorządowych zostałam wybrana do Rady Powiatu Piaseczyńskiego, więc będzie jak znalazł.



*...ryk silników jest dla mnie
oczyszczający*

Czego się jeszcze uczyć? Języków. Włoskiego i francuskiego, bo uwielbiam podróże. To jest moja prawdziwa pasja. Podróżuję z moją przyjaciółką Małgosią, która tak jak ja studiowała teologię i tak jak ja jest kurą domową. Widok lotniska, startujące samoloty mnie relaksują. Muzyka startującego samolotu, ryk silników jest dla mnie w pewien sposób oczyszczający. Tak to czuję i dlatego często, ale na krótko, wylatujemy z kraju. Najczęściej do Włoch, aby pielęgnować naszą długoletnią przyjaźń. Kobiecą stroną przyjaźni.

Moja przyjaciółka mówi, że trzeba mieć czas dla siebie. „Żeby nie zwariować, trzeba podróżować” – powtarza mi zawsze. Wyskakujemy na trzy, cztery dni, a mężowie w tym czasie zajmują się dziećmi, co bardzo dobrze robi całej rodzinie.

Gdybym jeszcze raz zaczynała wszystko do nowa, nie poszłabym na teologię, tylko na prawo. Zostałabym sędzią, bo bardzo wierzę w sprawiedliwość. ■



fot. z archiwum prywatnego Jerzego Buczka



**...piłka nożna
była tylko zabawą
większości chłopców
w jego wieku**

wach tego klubu, przypadł pechowo na sierpień 1939 roku. We wrześniu wybuchła wojna.

Po wojnie grał między innymi w drużynie Polonii Warszawa, z którą w sezonie 1946 zdobył mistrzostwo Polski. Pierwsze powojenne mistrzostwo Polski w piłce nożnej zdobyła drużyna miasta w ruinach, zespół bez stadionu, trenera i pieniędzy... W latach 1948-1952 występował w barwach Polonii w rozgrywkach I ligi. W 78 meczach zdobył 21 bramek.

W sezonie 1952 Szularz wraz z Polonią sięgnął po Puchar Polski. W finale tych rozgrywek, jego zespół pokonał Legię Warszawa. Przypominam o tym, bo dla miłośników piłki nożnej, dawnych kibiców Polonii Warszawa, jest to informacja ważna. Zakochałem się nie tylko w trenerze. Pokochałem atmosferę panującą wtedy w klubie na Konwiktorskiej i związałem z nim swoje młodociane lata.

Szło mi na tyle dobrze, że trafiłem do kadry juniorów reprezentacji Warszawy. Pojechałem na obóz kondycyjny do Dżonkowa. Zagrałem dwa mecze jako reprezentant w barwach Warszawy – żółte koszulki, czerwone spodenki. Całe późniejsze zawodowe życie grałem na pozycji, na której ustawił mnie Jerzy Szularz – na prawej obronie. Już wtedy grało się trójką w obronie, w systemie WM. Trójka w obronie, dwójka środkowych pomocników i piątka napastników. Prawoskrzydłowy, lewoskrzydłowy, łącznik, lewy, prawy i środkowy napastnik. Bardzo mi imponowali chłopaki, grający w pierwszej drużynie Polonii, tacy jak Krzysztof Mętrak, późniejszy dziennikarz sportowy. Pamiętam, jak pojechali na tournée do NRD. Przywieźli z Berlina fantastyczne koszulki. Przedtem graliśmy w białych koszulkach i na rzepy przyczepialiśmy do nich naszego orzełka, a oni przywieźli czarne koszule z białym serkiem pod szyją, białe koszulki i getry w biało-czarne paski. No, po prostu чудо.

Swoje pierwsze mecze w piłkę nożną rozgrywał z chłopakami na podwórkach warszawskiej starej Pragi. Kopał piłkę jak inni i do głowy mu nie przyszło, że całe jego życie potoczy się dookoła futbolówki. Wtedy podwórkowa piłka nożna była tylko zabawą większości chłopców w jego wieku, a nie pomysłem na życie.

Gdy na którąś gwiazdkę ojciec kupił dwunastolatkowi „kolarzówkę”, szpanerski czerwony rower z kierownicą barankiem i sztykami na obręczach, to był dopiero szal. Nasi kolarze odnosili sukcesy w Wyścigu Pokoju, a każdy chłopak chciał być Stanisławem Królakiem, jeździć tak jak Niemiec Gustav-Adolf Schur czy Czechosłowacy Veselý i Rózička.

– Tak się wtedy zakochałem w kolarstwie, że zapisałem się do sekcji kolarskiej Klubu Elektryczność. Na bazarze Różyckiego kupiłem kolarską czapkę, rękawiczki z obciętymi do połowy palcami, i ścigałem się. Zapał mój nie trwał długo – wspomina Jerzy Buczek. – Pamiętam, pojechałem na wyścig z Warszawy do Białegostoku. Dojechałem gdzieś za Wyszaków, zsiadłem z roweru i dałem sobie spokój z kolarstwem. Ten nieprawdopodobny wysiłek był jeszcze nie dla mnie. Wróciłem do piłki nożnej.

Junior

– Zapisałem się do sekcji piłki nożnej klubu czarnych koszul, czyli Polonii Warszawa. Wtedy nie było tak jak dziś, że są kategorie wiekowe. Miałem trzynaście, czternaście lat i byłem juniorem Polonii.

Zakochałem się w trenerze. To był Jerzy Szularz. Kiedyś piłkarz, grający na pozycji napastnika lub lewego pomocnika, który piłkarską karierę rozpoczynał w wieku piętnastu lat w Orkanie Warszawa. Pierwszy sezon, w którym miał wziąć udział w bar-

Życie z piłką w tle

W hali sportowej szkoły w Łazach gorąca atmosfera. Mali piłkarze w piłkarskich strojach, ochraniaczach pod getrami, walczą o piłkę. Każdy piękny strzał oddany na bramkę kwitowany jest oklaskami, każdej skutecznej paradzie bramkarskiej towarzyszą okrzyki zachwytu. Przy bocznej linii boiska stoi Jerzy Buczek, kolega z uczelni Zbigniewa Bońka i Pawła Janasa. Uważnie obserwuje podopiecznych.



Przez jakiś czas byłem kapitanem drużyny juniorów, a potem awansowałem do pierwszej drużyny. Pierwszy liczący się sukces, jaki odnieśliśmy jako zespół, to było wicemistrzostwo Warszawy. Przegraliśmy z Legią, która była wówczas nie do przeskoczenia.

W 1964 roku skończył się dla mnie juniorski sezon i dostałem się do seniorskiej drużyny A klasy, w ręce trenera Władysława Szczepaniaka, byłego piłkarza grającego na obronie, który przez całe życie był związany z klubem Polonia. Był tego klubu ikoną.

Pamiętam, pojechaliśmy na pierwszy mecz i zawodnik drużyny przeciwnej, Henio Misiak, dał mi poznać, co to jest seniorska piłka. Parę razy wjechał we mnie tak, że przerozował mnie po boisku i zmusił do zastanowienia, czy naprawdę chcę grać w piłkę. Zagrałem jeszcze kilka meczów, ale na każdy musiałem dojeżdżać tak jak inni zawodnicy sam. Jak graliśmy w Mirkowie, to jazda i mecz zajmowały mi cały dzień. To była cała wyprawa. Zacząłem się zastanawiać, co mogę zmienić. Ale nie zdążyłem sobie na to pytanie odpowiedzieć, bo po maturze zacząłem pracować, a potem wzięli mnie w kamasze.

Będę pływał

– Ponieważ jako chłopak połykałem wszystkie książki marynistyczne i marzyłem, że będę pływał po morzach i oceanach świata, to gdy przyszedł czas poboru, powiedziałem na komisji poborowej, że chcę służyć w marynarce. Wszyscy znajomi pukali się w czoło, bo w zielonych byłbym tylko dwa lata, a w marynarce trzy, więc nikt przy zdrowych zmysłach według nich marynarki nie wybierał. Ja wybrałem.

Myslałem, że od razu mnie zaokrętują, ale ponieważ byłem po technikum chemicznym, to skierowali mnie do Centrum Szkolenia Specjalistów Marynarki Wojennej w Ustce. Morza i okrętów wojennych nie widziałem. Przechodziłem za to wszystkie szkolenia wymyślane przez oficera politycznego z zaprzyjaźnionego kraju i nawet otrzymywałem w nagrodę blachy. Mam dwie: brązowego i złotego Wzorowego Marynarza, choć byłem marynarzem lądowym. Szkoliłem się na okrętowego chemika. Przebieraliśmy się w gumowe skafandry i udawaliśmy, że działamy w atmosferze jądrowych wybuchów.

Ponieważ taka służba w marynarce nieźle mi dała w cztery litery, pomyślałem, że trzeba losowi pomóc, by był dla mnie łaskawszy. Powiedziałem, że grałem w nogę w Polonii Warszawa i trafiłem do klubu Korab Ustka. Rozegrałem kilka spotkań i zainteresował się mną klub Flota Świnoujście.

W tym czasie awansowałem na stopień mata. Ponieważ na szkoleniach osiągałem niezłe wyniki, grałem w piłkę, to często dostawałem urlopy i jechałem do mojej dziewczyny do Warszawy.



Od kolegów pożyczałem na czapkę banderkę z napisem „kutry torpedowe” i szpanowałem. Wprawdzie miałem przydział na kutry rakietowe, ale nie służyłem na okręcie, tylko co najwyżej wypływałem na ćwiczenia, gdy umowni imperialiści atakowali nasze okręty. Okręty wojenne zobaczyłem dopiero wtedy, gdy wysłali mnie na Hel. Tak huštały na falach w górę i w dół, że cały czas klęczałem z głową w umywalce.

Gdy zainteresowała się mną Flota, pojechałem na sprawdzian do Świnoujścia. Było to wczesną wiosną, na boisku zastoiny lodu, trochę trawy i zamrożone kałuże. Podzielili nas na drużyny i zaczęła się gra. W pewnym momencie jeden z zawodników drużyny przeciwnej wjechał we mnie takim ślizgiem, że wywinąłem w powietrzu orla, spadłem na jego twardy but prawym bokiem i wałnąłem o ziemię miednicą. Wylądowałem w gdańskim szpitalu z jakimś uszkodzonym nerwem, który nie pozwalał mi chodzić, i lekarz przepowiedział mi koniec piłkarskiej kariery.

Zrobiło mi się smutno, bo kontuzja eliminowała mnie z czynnego grania w piłkę. Ponadto moja wymarzona marynarka okazała się też nie taka, więc wymyśliłem, że będę studiował na AWF. General Marian Spychalski, wtedy dowódca naczelny Ludowego Wojska Polskiego, wydał rozporządzenie ułatwiające wojskowym kształcenie się. Miałem w perspektywie jeszcze półtora roku służby, więc postanowiłem zdawać na uczelnię. Zwolniono mnie do cywila.

Moje Bródno

– Nim powołali mnie do zasadniczej służby wojskowej, zacząłem pracować w Instytucie Leków w Warszawie. W czerwcu była matura, a ja już od lipca zacząłem pracować, bo w mojej robotniczej rodzinie bogato nie było. Załogę instytutu stanowiły w większości wykształcone, samotne kobiety, które w powstaniu potraciły rodziny i miały do mnie matczyne stosunki. Uczyły mnie prawdziwej historii i namówiły, bym startował na wydział ziemi Uniwersytetu Łódzkiego, bo według nich łatwo się było tam dostać.

Ponieważ życie składa się z przypadków, na osiedlu Bródno, gdzie mieszkała moja dziewczyna, zawiązała się drużyna piłkarska. Gdy się ożeniłem i zamieszkałem u niej, podjąłem

...pierwsze mecze rozgrywał na podwórkach warszawskiej starej Pragi

pracę w radzie osiedla, skrzyknąłem chłopaków i zorganizowaliśmy Towarzystwo Krzewienia Kultury Fizycznej Toruńska i sekcję piłkarską. To był rok 1969 i początek mojej pracy trenerskiej.

Chłopcy zaczęli grać, na osiedlu mieli wielu kibiców, ja cieszyłem się zaufaniem, więc wkrótce przenieśliśmy się z małego pokoiku w domu dziadków żony do własnego pokoju z kuchnią na Bródnie. Cała żony rodzina, dziadkowie, rodzice, siostry, bracia, ciotki i my, czyli wszyscy, którzy mieszkali w domu dziadka, dostaliśmy mieszkania w jednym bloku. Z początku wydawało się to przepiękne, ale z czasem mieszkanie z rodziną stawało się coraz bardziej uciążliwe. Bez przerwy mieliśmy gości. Nawet na chwilę nie można się było skupić, bo ktoś zawsze pukał do drzwi.

Zamieniłem mieszkanie. Spodziewaliśmy się dziecka, mama żony miała z nami zamieszkać, więc udało się załatwić trzy pokoje z kuchnią. Całe pięćdziesiąt metrów na siódmym piętrze. Myślałem, że mieszkamy w pałacu. Taka przestrzeń.

Trenowałem z chłopakami na placu, który służył mieszkańcom do spacerów z psami, ale nie narzekaliśmy. Ku chwale ojczyzny wyrównaliśmy teren, z MZK dostaliśmy dwa zdezelowane autobusy, które służyły chłopakom za szatnie, a pijaczkom okolicznym, którzy się permanentnie do nich wlamywali, za noclegownię. Na boisku przy Kondratowicza, gdzie sami malowaliśmy wapnem linie i z zapalem rozgrywaliśmy mecze, ja byłem sobie sterem, żeglarzem, okrętem.

Zawodowo dalej pracowałem w Instytucie Leków i spełniałem się jako trener. Dostałem propozycję pracy trenerskiej z seniorami w UKS Junak. Gdy zmieniłem pracę i przeniósłem się do Tarchomińskich Zakładów Farmaceutycznych, zacząłem trenować chłopców z klubu Farmacja Tarchomin.

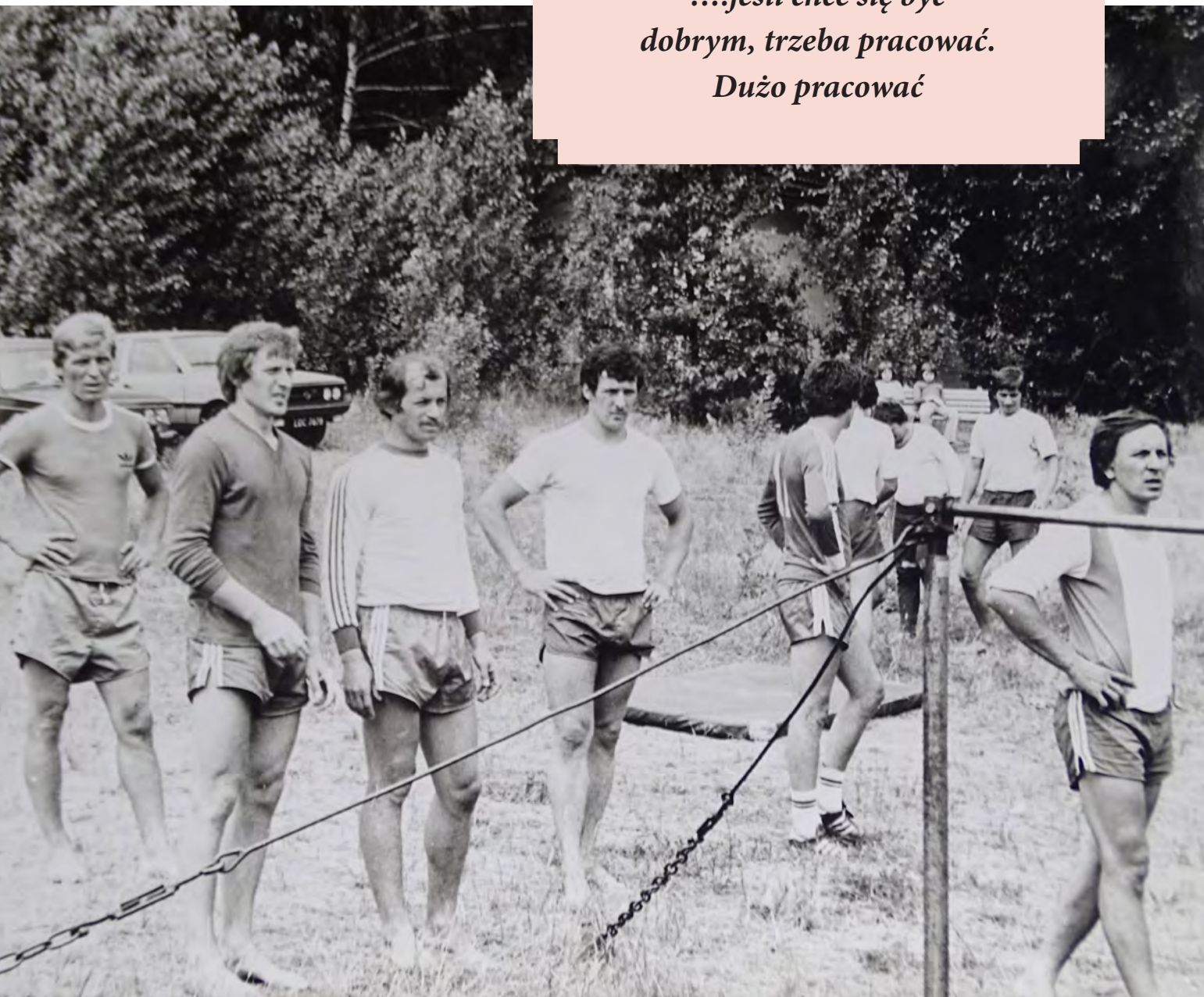
Z czasem moi chłopcy awansowali do wyższej klasy. Juniorami zajmował się inny trener, wyjeżdżaliśmy na obozy i poważnie zaczęła się rozrastać nasza baza sportowa. Gdy nasi seniorzy awansowali do ligi okręgowej, dorobiliśmy się pawilonu i boiska.

Na początku lat osiemdziesiątych poszedłem na studia. Chciałem się rozwijać jako trener. Zdałem egzaminy i dwa lata zaocznie studiowałem na AWF w Łodzi. Dojeżdżałem z dwoma kolegami na zajęcia maluchem. Moimi kolegami z roku byli w większości

piłkarze z reprezentacji Polski, Zbigniew Boniek, Paweł Janas, Marek Kusto, Krzysztof Sobieski, Marek Dziuba i inni. Byli ode mnie młodszy i grali jeszcze w reprezentacji Polski. Największe kłopoty miałem z zaliczeniem gimnastyki. Dobijały mnie te wszystkie ćwiczenia na drążkach i kółkach.

Kolejne dwa lata studiowałem na AWF w Warszawie. Mógłbym o tym opowiadać godzinami. Powiem tylko, że wszyscy – i ci w Widzewa, i ŁKS, i Legii – trzymaliśmy sztamę i nie było mowy o jakichś klubowych animozjach. Jest co wspominać.

*....jeśli chce się być
dobrym, trzeba pracować.
Dużo pracować*



Nasz trener

– Na mojej drodze trenerskiej było jeszcze kilka klubów, a ostatnim był Huragan Wołomin, klub tak jak moja Polonia należący do federacji Kolarz. Zostałem tam nawet dyrektorem sportowym i miałem na głowie wszystkie klubowe sekcje, ale też zajęcia z dziećmi. W tym czasie moja córka wyszła za mąż za piłkarza i wyjechała z nim do Republiki Federalnej Niemiec, do Hamburga.

Wspominam o tym dlatego, że ten fakt wpłynął również na moje życie. Niedługo potem, dość nagle, umarła mi żona. Miała czterdzieści dwa lata i któregoś dnia lekarze stwierdzili u niej czerniaka. Dał jej pożyć trzy miesiące. Przyznam, że nie bardzo wiedziałem, jak się po tym podnieść. I wtedy córka powiedziała: „Przyjedź do nas na tydzień, dwa. Odpoczniesz, pomyślisz, co dalej, będzie ci łatwiej”. Pojechałem na dwa tygodnie do Hamburga. Zostałem całe pięć lat.

Któregoś dnia zięć przyniósł gazetę, a w niej było ogłoszenie, że w miejscowej drużynie potrzebny jest trener. Zięć powiedział: „Spróbuj”. Spróbowałem i dostałem pracę trenera w kraju, który zdobył piłkarskie mistrzostwo świata. Pracowałem z dziećmi. Mówili do mnie Jery. Niemcy byli zachwyceni. Wynająłem mieszkanie i zostałem w Hamburgu pięć lat.

Pewnie bym już tam został, ale w Polsce zostawiłem szesnastoletniego syna. Babcia nalegała, wróciłem. Dostałem propozycję pracy w Piasecznie i od podstaw budowałem juniorską piłkarską drużynę Piaseczna. Awansowaliśmy do wyższej klasy i zdobyliśmy wicemistrzostwo Warszawy. Potem przez pewien czas pracowałem w szkole jako nauczyciel WF, a następnie zaproponowano mi pracę trenera w Klubie Sportowym SEMP na Ursynowie. Tam zdobyłem doświadczenie w organizowaniu międzynarodowych turniejów piłkarskich.

W szkole podstawowej w Nowej Iwicznej nauczycielem WF był Darek Pawelec, mąż naszej olimpijki Anny Jakubczak, i on zaproponował mi pracę w szkole. Któregoś dnia zgadaliśmy się, że w szkole funkcjonował kiedyś UKS, czyli uczniowski klub sportowy, i że warto byłoby go reaktywować. Od słowa do słowa reaktywowaliśmy UKS Iwiczna. Darek zajął się lekkoatletyką, ja – piłką nożną, Artur Brzeziński – sportami walki i od czternastu

lat działamy. W tej chwili mam pod opieką grupę około czterdziestu chłopców, którzy rozpoczynają swoją piłkarską przygodę w lesznówolskiej lidze.

Kiedy czasem myślę o tamtych latach, warunkach, w jakich ja i moi chłopcy trenowaliśmy, i porównam do tego, co mają dziś dzieci w naszej gminie, to wierzyć się nie chce, jaka to przepaść. Dziś hale sportowe do treningów, piękne równiutkie boiska trawiaste, boiska ze sztuczną nawierzchnią, szatnie, prysznice, dresy, kostiumy, leciutkie piłki, buty – nic, tylko grać. Na treningi i mecze zawodników dowożą rodzice – po prostu raj. Nikt nie jedzie tramwajem na drugi koniec miasta, nie wędruje spocony i brudny po meczu czy treningu do domu. Za tamtych czasów może lepiej było z kondycją, chłopcy byli bardziej twardzi, bardziej samodzielni. Nie mieli komputerów, smartfonów, nie siedzieli w domu z joystickiem przed konsolą, tylko byli w ciągłym ruchu. Grali, bo chcieli, a nie grali, bo tak chcieli ich rodzice, jak to często bywa dziś. Ale co na to poradzić? Czasy się zmieniają.

Nie zmienia się tylko jedno. Jeśli chce się być w przyszłości dobrym zawodnikiem, reprezentować Polskę czy grać w zagranicznych klubach, trzeba pracować. Bardzo pracować. Mówię to z własnego doświadczenia jako piłkarz i jako trener. Można też traktować sport jako zabawę, potrzebny organizmowi do prawidłowego rozwoju ruch i mieć z tego satysfakcję. Polecam jedno i drugie podejście. ■



fot. z archiwum prywatnego Piotra Krzyczmonika

CZARODZIEJ Z ZAMIENIA



– Dziadek Andrzej powiedział mi kiedyś, że w życiu trzeba wyłącznie robić to, co się lubi lub kocha. Tylko wtedy będzie się to robiło dobrze i będzie się chciało to robić. Przez całe życie o tym pamiętam. Robię lub próbuję robić tylko to, co lubię i kocham – powiedział Piotr Krzyczmonik, gdy zaczęliśmy rozmawiać o jego pasji.

Zarażony jazzem

Jako licealista pokochał jazz. Atmosferę klubu na ulicy Łaziennej 4 we Wrocławiu. Pod tym adresem mieścił się założony w 1980 roku Jazz Klub Rura i tam, jako piętnastolatek, zaczął pracować Piotr Krzyczmonik.

– Mieszkalem bardzo blisko klubu i coś mnie do tego miejsca ciągnęło – wspomina pan Piotr. – To było takie miejsce jak Jazz Club

Akwarium przy Emilii Plater w Warszawie czy Pod Budą na krakowskiej Starówce.

Jazz Klub Rura w czasach PRL, oprócz działalności muzycznej, był także dla jego bywalców azylem wolności i miejscem spotkań nie tylko muzyków i fanów jazzu, lecz również aktorów, poetów, malarzy i artystów. Kluby jazzowe to były jedyne miejsca, w których za PRL czuć było atmosferę tak zwanego „zgnitego Zachodu”.

W Jazz Klub Rura powstały i debiutowały takie zespoły jak Lady Pank i String Connection. Koncerty grali między innymi amerykański trębacz jazzowy Eddie Henderson, amerykański saksofonista Billy Harper czy nasz Zbigniew Namysłowski.

– Gdy miałem piętnaście lat, zacząłem tam przychodzić. Któregoś dnia zapytałem w barze, czy nie

potrzebują kogoś do pracy. Potrzebowali kelnera. Dostałem melonik i zostałem klubowym kelnerem, co było dla mnie wielką nobilitacją, ponieważ wejść do klubu nie było łatwo.

Tam wchodzili sami muzycy i artyści. Patrzyłem na ludzi, których wtedy nie znało się z telewizji. Znało się z koncertów, z płyt. Pamiętam, jak po raz pierwszy do Polski przyjechał angielski zespół heavymetalowy Iron Maiden. Ta gigantyczna gwiazda była u nas, w naszym klubie, dzięki któremu wchodziłem w wielki świat. A jak człowiek raz tam trafił, to trudno było mu wrócić do normalnego życia.

Nawet jak wyjechałem za granicę zarabiać na budowach, żeby za coś żyć, to cały czas mnie ciągnęło do tego magicznego świata zasmakowanego w klubie Rura, w moim

*...w życiu trzeba
wyłącznie robić to,
co się lubi lub kocha*



To była fascynująca rozmowa. Poznałem człowieka, który potrafi sprawić, by z nieba sypał śnieg, padał deszcz, by fale sztormowe wywracały statki i wichry łamały maszty. Potrafi wyczarować grad tłukący lodowymi kulami wielkości ptasich jaj w jadący samochód, czy wybuchem wulkanu uwolnić rozpaloną lawę, która, płynąc, pali i niszczy wszystko po drodze. Ten człowiek jest mieszkańcem naszej gminy i nazywa się Piotr Krzyczmonik.

Wrocławiu. Kiedy więc wróciłem do Polski, zacząłem zajmować się muzyką, ale nie w tym sensie, że grałem, tylko organizowałem koncerty, jeździłem z trasami koncertowymi i pracowałem z polskimi zespołami. Byłem w tym świecie, który mnie pociągał, i w pewnym sensie w tym świecie zostałem, tylko zmieniłem w nim swoje miejsce.

Magia filmu

– Moja rodzina była skażona filmem. Świętej pamięci ciotka była montażystką w łódzkiej wytwórni filmów fabularnych i miała przyjemność montować film Stanisława Różewicza „Westerplatte”, popularny serial Andrzeja Konicy i Janusza Morgensterna „Stawka większa niż życie” i „Rękopis znaleziony w Saragossie” Wojciecha Jerzego Hasa.

Przyglądałem się tej pracy, oglądałem filmy, często o nich rozmawiano w domu i moje życie tak się poukładało, że zacząłem pracować w tej filmowej branży. Wchodziłem w nią powoli i wolno, krok za krokiem, budowałem swoją pozycję, a przede wszystkim zdobywałem wiedzę, bo to jest najważniejsze.

Znalazłem dla siebie miejsce. Zająłem się efektami specjalnymi. Podjąłem pracę, o której wszyscy moi koledzy pracujący w tej branży i ja zawsze mówimy: „to praca, którą trzeba kochać”. Jej nie da rady robić z przymusu, dla zarabiania pieniędzy. Pieniądze są tutaj bardzo drugorzędne. Kto oglądał takie filmy jak „Zaginiony świat”, w którym widział „żywe” dinozaury, czy film „King Kong” z wielką małpą burzącą drapacze chmur, ten będzie wiedział,

o czym mówię, bo to były między innymi efekty specjalne.

Specjalista od efektów specjalnych to ktoś, kto potrafi pomysł reżysera, producenta, kierownika produkcji przeobrazić w wizję. Bo reżyser wie, że coś ma się na planie wydarzyć, ale do końca nie wie, co to ma być, więc trzeba mu to pokazać, stworzyć. I specjalista od efektów specjalnych jest właśnie od tego.

Jakiś czas temu przyjechała do nas produkcja zza granicy i poproszono mnie o to, żeby zrobić wypad. Scenarzysta i reżyser mieli wizję tego wypadku, którą przedstawili tak: „Rozpędzony autobus wjeżdża na plac budowy, gdzie stoją beczki wypełnione jakąś wybuchową substancją. Wpada w te beczki, które wybuchają jedna po drugiej, lecą w powietrze, palą się i jedna



**...żyjemy w dużym
stresie, bo to jest dość
niebezpieczna praca**

trafia w nadlatujący helikopter. Helikopter zapala się, wybucha, spada i to trzeba zrealizować". I zrobiliśmy to.

Tu na zdjęciu mam ten wybuch. Był gigantyczny. Robiliśmy go na autostradzie do filmu „Kick”, jednego z największych kin hinduskich, które było realizowane w Polsce. To jest dość znana historia. Był zamknięty most i centrum miasta, skakali kaskaderzy...

Podwieszona na dźwigu, nafaszerowana ładunkami atrapa helikoptera w odpowiednim momencie została zdetonowana. Był bardzo duży, jeden z największych w Polsce wybuchów. Oczywiście o całej naszej akcji wiedziały odpowiednie służby, wszystko było zgłoszone na

policję, zawiadomiona była straż pożarna, my mieliśmy swoje zabezpieczenia pożarowe i bardzo wielu ludzi pracowało przy tym projekcie. W pewnym momencie kierowcy, którzy w pobliżu autostrady przejeżdżali, zobaczyli nad częścią drogi olbrzymi grzyb ognia. Nikt nie wiedział, że jest kręcony film, tylko wszyscy myśleli, że to jest jakiś gigantyczny wypadek. Ludzie zaczęli dzwonić do okolicznych straży.

Udało się. Był przepiękny efekt. Byłem bardzo z niego zadowolony.

Mam ten przywilej, że pracuję też za granicą, więc mam możliwość uczyć się i podpatrywać tych największych specjalistów od efektów specjalnych, dysponujących na reali-

zacje swoich pomysłów potężnymi budżetami, więc mających nieograniczone możliwości. Są to Brytyjczycy, bracia Corbouldowie. Jedna z największych firm na świecie, ale oni robią najlepsze kino. To są panowie, którzy mają na swoim koncie kilkanaście Oscarów.

Jeden z braci, Christopher Charles Corbould, zaczął swoją karierę przy filmie „Tommy” Kena Russella w 1975. Później pracował przy „Lisztomanii” i „Orzeł wylądował”. W 1977 po raz pierwszy trafił na plan przygód Jamesa Bonda w filmie „Szpieg, który mnie kochał”. Z serią o agencji 007 jest związany do dziś.

Chris robi wszystkie Bondy. Kiedy robił film w Stanach Zjedno-

czonych, producenci Bonda czekali na niego pół roku, żeby skończył i mógł zacząć kręcić agenta. Cała produkcja miliardowego filmu czekała na jednego człowieka, który stworzył taką markę.

Ale jego kariera to nie tylko Bond. Pracował między innymi przy „Supermenach” (II i III), „Saturnie 3”, „Supergirl”, „Krullu”, „Przygodach barona Munchausena”, „Obcym 3”, „Nieśmiertelnym 2”, „Synu różowej pantery”.

Za swoje zasługi w rozwój kine-matografii został nagrodzony także Orderem Imperium Brytyjskiego. Jego bracia Neil i Paul również zajmują się efektami specjalnymi i razem z wujkiem Colinem Chilve prowadzą rodzinny interes.

Dzięki temu tworzą takie rzeczy, jakie tworzą. Największe wybuchy na planie, najbardziej spektakularne zanurzenia w Wenecji. Fajnie jest podpatrywać tych ludzi, patrzeć na ich efekty specjalne, uczyć się i przenosić niektóre rozwiązania technologiczne, system prac, na nasz rynek polski. To daje mi dużą satysfakcję.

Zobaczmy, co potrafisz

– Ludzie czasem niesłusznie myślą pirotechnika z człowiekiem od efektów specjalnych. A to jest tak, że ktoś, kto robi dymy na scenie

i strzela fajerwerki, może uchodzić za pirotechnika. Bo ci od prawdziwych fajerwerków siedzą gdzieś w Dubaju, mają gigantyczną wiedzę, która pozwala im to robić, i puszczają fajerwerki za miliony dolarów.

U nas w Polsce są może trzy, cztery firmy, które potrafią kreować wielkie pokazy. To są artyści. Tak samo jest z efektami specjalnymi. W Polsce jest nas czterech, może pięciu. To z czegoś wynika. Nie tylko z tego, że tylko tylu nas chce się specjalizować i to robić. Bo przecież można powiedzieć, że jak jest czterech czy pięciu, to ja też idę. Będę tym szóstym i na pewno będę miał pracę. A to nie jest takie proste.

Powiem szczerze, jestem chyba jedynym od dwudziestu lat, który w tę branżę wszedł nie z łódzkiej filmówki. Jedynym, który gdzieś się zaczęcił i udało mu się zbudować znaczącą pozycję na rynku. Poza tym to jest bardzo ciężka praca. Oprócz pracy fizycznej, którą należy wykonać, trzeba mieć też z tyłu głowy, że rzeczy, które się robi, zabijają, doprowadzają do kalectwa lub niszczą sprzęt.

Żyjemy w dużym stresie, bo to jest dość niebezpieczna praca. Pracujemy przecież często z materiałami wybuchowymi. Przechodzimy wprawdzie odpowiednie szkolenia,

mamy pozwolenia, jesteśmy cały czas monitorowani przez policję, mamy co pięć lat badania psychologiczno-psychiatryczne, więc to nie jest tak, że wybraliśmy sobie zajęcie i będziemy się bawić.

Spotkałem kilkunastu ludzi, którzy przychodzili do mnie i mówili: „Słuchaj, ja chcę robić efekty specjalne. – Świetnie, stary, proszę cię bardzo. Zobaczymy, co potrafisz”.

Po trzech, czterech, ośmiu zadaniach mówili: „To nie dla mnie”. Bo siedzisz w mrozie przy minus dwudziestu stopniach po pas w śniegu albo latasz po lesie z maszyną do dymu, albo robisz inne rzeczy, gdzie ręce ci marzną, albo jesteś w upale plus czterdziestu stopni i musisz uważać na wszystko.

Jest tak, jak powiedziałem na początku – to trzeba kochać. Moja żona mówi do mnie często: „Ty, jakbyś mógł, to byś cały czas pracował. Lepiej się czujesz w pracy niż w domu”. Ale ja nie znam wielu ludzi, którzy pracują w tak małej branży. To są wszystko friki. To są ludzie, którzy mają napakowaną głowę różnymi marzeniami. Nie jest tak, że jadą do fabryki, idą do Mordoru odbijają kartę, dziękują, do widzenia, potem w samochód i do domu.

My tym cały czas żyjemy, cały czas robimy filmy, cały czas



...cały czas człowiek czegoś poszukuje

szukamy różnych rzeczy. Poza tym ta praca daje mi dużo możliwości. Jestem w miejscach często niedostępnych dla zwykłych ludzi, spotykam wspaniałe osoby, bywa, że bardzo dziwne. Od artystów po ludzi, którzy, gdy przygotowują film, ciągle czegoś szukają.

Przygotowuję teraz film o naszym jedynym statku podwodnym. Cały czas czegoś szukam, rozmawiam z ludźmi i zastanawiam się, co się tam działo, co było w tym statku, jakie były warunki.

Efekty specjalne to nie są tylko wybuchy. To jest też deszcz, to jest

para, to są różnego rodzaju efekty, które widz odbiera naturalnie, ale dla filmu trzeba je było zrobić. Ot, taka prosta rzecz jak na przykład zaparowana szyba. Zrobić zaparowaną szybę latem, kiedy jest wysoka temperatura, wcale nie jest takie proste. Jest mnóstwo takich rzeczy, o których trzeba się dowiedzieć, wykreować je, znaleźć ludzi, którzy przykładowo są specjalistami w danej dziedzinie, i prosić ich o konsultacje albo o pomoc. To wszystko się skleja w jedną całość, która później daje efekt w obrazku. I to jest w tym zawodzie fantastyczne.

Są rzeczy, których nie da się wypróbować. Zrobić próbę i przystąpić po niej do pracy. To nie wchodzi w grę. Wszystko robi się raz. Pierwszy i ostatni, opierając się na doświadczeniu i umiejętności. Są też rozmowy z reżyserami: „– Ja chcę

mieć wysadzony samochód – mówi reżyser. – Ale jak chcesz mieć wysadzony samochód? Żeby ktoś bombę pod niego podłożył czy wrzucił butelkę z benzyną?”. I on mówi, że chciałby, żeby to wyglądało tak i tak. I wtedy myślę, jak to zrobić, i potrafię zamysł reżysera zrealizować. Już wiem, jak wysadzić ten samochód.

Są różne techniki. Samochód, który jedzie z kaskaderem w środku, ma specjalny tłok pneumatyczny, który wyrzuca go w górę. Auto koziołkuje do pewnego momentu i jest cięcie. Stop. Montuję swoje zabawki, naciskam guzik i jest wybuch. Widz odbiera to wszystko jako ciągłą akcję. Robi się też takie sytuacje z kaskaderami. Możemy zrobić wybuch samochodu z człowiekiem w środku. Wszystko to jest kwestią kadru, ustalenia, ustalenia pewnych rzeczy.

Tutaj, może pan poznać, z Billem Pullmanem robiliśmy zdjęcia w Polsce do filmu „The Coldest Game”. Ostatnio, jeżeli chodzi o zagraniczne filmy, robiłem też „American Assassin” z Michaeliem Keatonem. Z Charliem Hunnamem i Sienną Miller „Miasto zaginione” (The Lost City of Z), brałem udział w zdjęciach do najnowszej części „Transformersów”. Z polskich produkcji pracowałem dla filmu „Kler” Wojciecha Smarzowskiego i serialu „Nietykalni” dla HBO.

Adrenalina

– Temu, co robię, przez cały czas towarzyszy zdenerwowanie, skoki ciśnienia, adrenalina i wewnętrzne pytanie: „Czy się wszystko zaplanowało dobrze?”. Najciekawszą rzeczą jest to, że po każdym efekcie, mimo że wypadł dobrze, człowiek myśli: „Mógłbym troszeczkę inaczej zrobić, może byłby fajniejszy?”. Nie jest tak, że ok, zapamiętane, jest na półce. Zawsze coś można poprawić, zawsze coś może być lepiej i ciekawiej.

Polega to też na tym, że jak się pracuje z kaskaderami czy aktorami, to jest zbliżenie kadru. Czym większe niebezpieczeństwo w obrazku, tym lepiej dla mnie. Całkiem inaczej wygląda coś, co jest oddalone, a całkiem inaczej coś, co jest całkiem blisko. Inaczej człowiek to odbiera. Strach z bliska inaczej wygląda niż z daleka. Poza tym technologia, której się używa, jest bardzo istotna i bardzo frapująca. Jak zaczynałem pracować, to się pracowało na benzynie, na różnych takich rzeczach. Jak pojechałem do Niemiec, to się okazało, że można używać czegoś innego i to daje możliwość przybliżenia kadru. Cały czas człowiek czegoś poszukuje, próbuje testować.

Trudno jest zrobić coś, czego jeszcze nie było. Większość rzeczy było już robiona, tylko w różnych systemach, w różnym timing, i ja też je robię po swojemu. Wiadomo, że są jakieś schematy, ale to nie są schematy, które trzeba powielać, tylko jeszcze poszukiwać. Są sytuacje

banalne, takie jak body shoty - postrzały. Te postrzały można zrobić na kilkanaście sposobów i każdy szuka tego najbardziej realnego. Czasami się śmiejemy, że potrafimy siedzieć w pubie i dyskutować na temat postrzału przez cztery godziny: „A zrobić tak, a zrobić tak, a wziąć taki materiał, a jak założysz to, coś będzie lżej działało, jak dasz tak krew, jak dasz w trójkacie, a taki worek użyjesz...”. Wszystko to są szczegóły, które wpływają później na realizację efektu.

Oprócz pracy dla filmu realizuję reklamy, przy których też się bardzo fajnie pracuje. To takie mocne spięcie – bardzo wymagające dwa, trzy dni. Szybko trzeba reagować i realizować pewne rzeczy. Ja to lubię i lubię efekt tych reklam, które były i są robione cały czas. Robiłem reklamę PZU z burzą gradową. Ktoś jedzie drogą i burza niszczy mu samochód. Teraz jestem w trakcie filmu „Legiony”.

Mam to szczęście, że nie miałem, jak niektórzy koledzy w pracy, sytuacji ekstremalnych, ale takie się też zdarzają, bo pracujemy z niebezpiecznymi materiałami. Trafiają się wady urządzenia, materiału i to jest wpisane w tę pracę. Nie ma tak, że nikomu nic się nie stało, nie przydarzyło.

Przy ostatniej realizacji filmu „Han Solo. Gwiezdne wojny – historii” był robiony efekt i konstrukcja efektu upadła Harrisonowi Fordowi na nogę i ją złamała. Wydawałoby się, że to najwyższy światowy pułap, a jednak takie rzeczy się zdarzają. Zdarzają się bardzo trudne rzeczy, takie jak w filmie „The Expendables 2” („Niezniszczalni 2”), gdzie zginęło dwóch kaskaderów na planie. Przy filmie „Mena” z Tomem Criusem był wypadek helikoptera w Kolumbii i zginął jeden z najlepszych filmowych pilotów helikopterowych.

Zdarzają się też zadrapania, siniaki i trzeba mieć zawsze z tyłu głowy świadomość, że to się może zdarzyć. Oczywiście przygotowując dany efekt, staramy się go przygotować tak, żeby był jak najbardziej bezpieczny, bo najważniejsze jest zdrowie. To jest najważniejszy punkt naszej pracy. Nie możemy ryzykować mu świadomości życia lub zdrowia ekipy.

Pierwszy film, jaki robiłem, sygnując pracę własnym nazwiskiem, był ze Stevenem Seagalem. I od tego się zaczęło. Potem już poleciało bardzo szybko i bardzo mocno. I niczego innego nie chciałem w życiu robić, bo ciągle pamiętam to, co powiedział mój dziadek: „W życiu trzeba wyłącznie robić to, co się lubi lub kocha”. ■



Przybieżeli do Betlejem...



Kolorowe, stonowane lub całe ze złota, przyprószone śniegiem albo rozpostarte w cieniu zielonej palmy. Z makaronu, szyszek, masy solnej lub tektury. Jedne bardzo proste, drugie rozbudowane. Wszystkie piękne, a każda inna. Po raz kolejny uczniowie lesznowskich szkół z rodzicami zbudowali bożonarodzeniowe szopki.

W bibliotece szkoły podstawowej w Nowej Iwicznej czekały na swój wielki dzień, by wziąć udział w konkursie na najpiękniejszą. Nam podobały się wszystkie.

W bożonarodzeniowy obrazek stajenki, w której narodził się Jezus, wpisali się kolorowi Trzej Królowie, łaciate krówki i białe owieczki obok pasterskiego psa. Nie zabrakło pastuszków, pyzatyh aniołków,

osiołka, ciepłego ogniska, choinek, palmy i śniegu. Była też Święta Rodzina – ulepiona z solnej masy, wycięta z kartonu lub zrobiona z szyszek. Był też malutki Jezus, tak mały, jak żółędzie.

Jedni zamknęli historię narodzin Jezusa w szklanej kuli, inni misternie wykleili ją z makaronu tak dokładnie i precyzyjnie, że trudno uwierzyć.

Szopka bożonarodzeniowa ma piękną tradycję. Inna jest szopka krakowska i inna neapolitańska. Szopki powstają w różnych regionach świata i każda na swój sposób próbuje przedstawić ten najważniejszy moment w wierze chrześcijańskiej.

Która z lesznowskich szopek okazała się najpiękniejsza? O tym w relacji ze świątecznego kiermaszu. ■

Sezon na CYTRUSY

Dawniej wszyscy na nie czekali. W czasach PRL były oznaką świątecznego luksusu. Już w listopadzie można było usłyszeć o statkach, które z dalekich, ciepłych krajów wiozły do Polski pomarańcze. W świątecznym menu były towarem tak samo obowiązkowym, jak karp i tak samo trudnym do zdobycia. A kiedy wreszcie statki dobiły to bałtyckich portów, po ekskluzywne owoce ustawiały się długie kolejki. Dziś cytrusy spowszechniały i tylko niektórzy patrzą na nie z sentymentem.

Pomarańcze, mandarynki, klementynki, grejpfruty, cytryny i limonki – większość z nich dostępna jest niemal przez cały rok. Stanowią naturalne źródło witamin i wzmacniają układ odpornościowy. Można przyrządzać z nich soki, dżemy, sałatki i ciasta. Pomarańcze stanowią idealny dodatek do pieczonej kaczki i... roztopionej czekolady.

Sok z limonki z surową rybą stworzą pyszne ceviche, mandarynki pasują do kolorowej sałatki z pleśniowym serem i do sernika na zimno. Z grejpfruta powstanie pyszny sorbet, a kandyzowane klementynki są wspaniałym dodatkiem do ciast i aromatycznej herbaty. Dziś sięgamy po owoce cytrusowe, jak po nasze jabłka i proponujemy kilka sposobów ich wykorzystania.

KURCZAK W POMARAŃCZACH

SKŁADNIKI

3 pomarańcze, kurczak, 3 łyżki soku z cytryny,
3 łyżki miodu, 1 łyżka tymianku, czosnek,
3 łyżki soku sojowego, sól

Przygotuj marynatę: wymieszaj ze sobą miód, sok z cytryny, sos sojowy, sok z 1 i 1/2 pomarańczy, drobno posiekany czosnek (dwa ząbki), sól, tymianek. Kurczaka podziel na kawałki i umyj. Natrzyj go dokładnie marynatą i wstaw do lodówki na całą noc. Na drugi dzień wstaw kurczaka do piekarnika nagrzanego do 180 stopni. Jeśli zostało ci trochę marynaty, oblej nią kurczaka. W czasie pieczenia przewracaj kurczaka, żeby się dobrze podpiekł. Po 45 minutach dodaj do niego pokrojoną w plastry pomarańczę. Od czasu do czasu polewaj kurczaka sosem, który zebrał się w brytfance. Kiedy kurczak będzie prawie gotowy, na ostatnie 10 minut włącz funkcję grilla i pilnuj, żeby się trochę przypiekł.

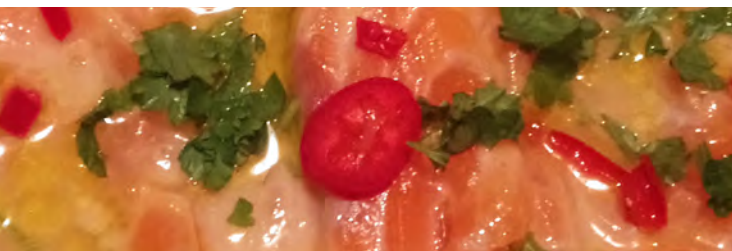


CEVICHE Z ŁOSOSIA

SKŁADNIKI

sok z 1 limonki, sok z 1/2 pomarańczy, 3 łyżki oliwy, łyżeczka posiekanej papryczki chili, natka pietruszki, 300 g surowego filetu łososia bez skórki

Łososia oczyść, wyjmij z niego ości, pokrój w cienkie plasterki i ułóż na półmisku. Wymieszaj ze sobą sok z limonki, pomarańczy i oliwę. Marynatą polej dokładnie łososia i odstaw na godzinę. Oprósł natką pietruszki i papryczką chili. Dobrze posól i popieprz. *Podawaj z grzankami.*

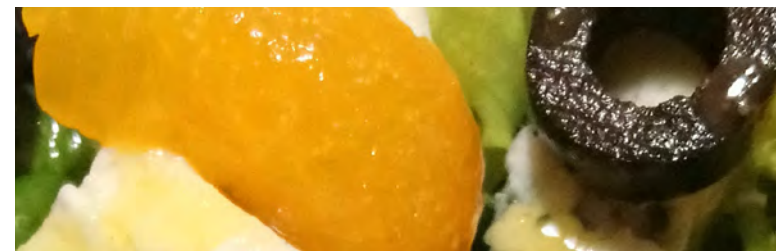


SALATKA Z MADARYNKAMI I CZARNYMI OLIWKAMI

SKŁADNIKI

dwie garści ulubionej mieszanki sałat, mandarynki z puszek, 60 g sera feta lub ulubionego sera pleśniowego, garść czarnych oliwek (mogą też być zielone), 2 łyżki oliwy, łyżka octu balsamicznego, 1/2 łyżeczki musztardy z całymi ziarnami gorczycy, 1/2 łyżeczki cukru, sól i pieprz

Sałatę umyj, osusz i rozłóż na półmisku. Ser pokrój w kostkę i posyp nim sałatę. Na wierzch dorzuć czarne oliwki przekrojone na połówki. Ocet wymieszaj dobrze z oliwą, musztardą, cukrem, solą i pieprzem do smaku. *Polej nim sałatkę i dobrze wymieszaj.*

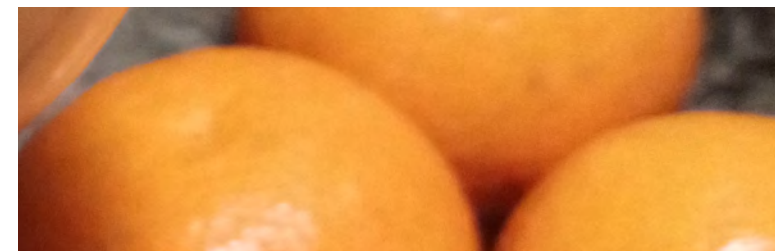


KREM Z MANDARYNKAMI I LODAMI WANILIOWYMI

SKŁADNIKI

4-5 mandarynek, lody waniliowe, 1/2 szklanki mleka

Mandarynki obierz ze skórki i dokładnie zmiksuj. Mleko wlej do miski. Dodaj do niego dwie duże łyżki lodów waniliowych i 2/3 musu z mandarynek. Ponownie dobrze zmiksuj i rozlej do pucharków. Na wierzch każdego nalej pozostały zmiksowany mandarynkowy mus. *Podawaj od razu przybrane kolorowymi owocami.*



MANDRYNKI W CZEKOLADZIE

SKŁADNIKI

4 mandarynki, tabliczka gorzkiej czekolady, wiórki kokosowe

Mandarynki obierz ze skórki i podziel na cząstki. Czekoladę rozpuść w kąpieli wodnej. Trzymając za jeden koniec, zanurz mandarynkę do połowy w czekoladzie i oprósł wiórkami kokosowymi. *Podawaj, kiedy czekolada zastygnie.*



Cieszymy się z rzeczy prostych i małych.
Byśmy wszyscy umieli dostrzec piękno
w najmniejszym nawet szczególe.
Przed nami kolejny rok.

Wszystkiego Dobrego!

